

Wspomnienia Rafała Paszka

Paszek Rafał (ur. 8.06.1935)

Imię ojca: Józef, imię matki: Tekla (z domu Włodyka)
Ojciec (ur.1907): gajowy. Matka (1909): gospodyni domowa
Miejsce urodzenia: Mikoliszki, pow.
Oszmiana
Miejsce zam. (przed deportacją): Turciany, pow. Oszmiana,
woj. Wilno
Data deportacji: 10.02.1940. Powód deportacji:
stanowisko ojca.
Miejsce deportacji: Rudnik Rietwi, rej.
Samarskoje, obl. Wschodni Kazachstan
Data powrotu: czerwiec 1946
Miejsce przyjazdu: Lipiany, pow. Perzycy,
woj. Szczecin
Miejsce zamieszkania: wieś Grodzisko, pow.
Strzyżów, woj. Rzeszów

Miałem niespełna 5 lat, kiedy znalazłem się w Kazachstanie. Miałem 11 lat, kiedy wróciłem do kraju. Moje spojrzenie na ten okres ogranicza się do wspomnień dziecka i to w obszarze, w jakim udaje się pobudzić pamięć. Zapamiętane zdarzenia są fragmentaryczne, nie pełne i niewątpliwie tylko te, które były związane z emocjonalnymi przeżyciami.

Momentu wywózki nie pamiętam, Wiem, że mieszkaliśmy w gajówce. Matka mówiła, że było to nad ranem. Przyszło dwóch umundurowanych. Spytały o ojca. Był w domu. Kazali mu usiąść na podłodze pod ścianą z rękoma na karku. Spytały o broń. Wskazał im miejsce przechowywania. Był to sztucer i browning. Matce kazali pakować się. Ojciec cały czas siedział. Ponoć nie byli to źli ludzie. Doradzali, co brać, a co będzie zbędne. Dokąd zabierają, chyba sami nie wiedzieli.

Podróż to wóz konny, wagony bydlęce i znów wozy ciągnięte przez woły. Gdy dotarliśmy na miejsce, były już roztopy. Wozacy, którzy jechali po drzewo do lasu furmanką, „przy okazji” nas przywieźli. Gdy im mówiono, że w drodze powrotnej nas zabiorą, śmiali się mówiąc, że stąd jeszcze „nikt, nigdy, nikogo” nie zabierał w przeciwnym kierunku. Doskonale pamiętam moment rozładunku. Były to niewielkie osiedle górnicze. Cudowny krajobraz. Zakwaterowano nas w drewnianych barakach. Środkiem biegł korytarz, po bokach pokoje o powierzchni około 7 - 8 m², niczym w hotelu. Zakwaterowano po dwie rodziny w pokoju.

Nasza kolonia nie była zbyt liczna. O ile sobie przypominam mogło być 25-30 rodzin. Na nasz przyjazd przygotowano do sprzedaży biały chleb w specjalnie przygotowanym sklepiku. Ludność miejscowa dawała

pieniądze, żeby im kupować. Mówili, że takiego chleba po rewolucji jeszcze nie jedli. Kupowali im Polacy do czasu, aż „Naczalstwo” przepędził ich spod sklepu. W pierwszych dniach po przyjeździe, gdy dorośli zastanawiali się nad dalszym losem, my, małolaty, zbieraliśmy się wieczorem w jednej izbie, a starsze dzieci opowiadały nam i sobie znane im bajki. Słuchałem z zapartym tchem. Uczyliśmy się również wierszy i piosenek patriotycznych, a także pieśni religijnych. Musiałem to bardzo przeżywać. Dzisiaj jeszcze widzę zasłuchane, rozdziawione buzie rówieśników. Później ta więź duchowa różniła się. Każda grupa wiekowa organizowała swoje życie we własnym zakresie. Graliśmy w wojnę, zbijanie kości (niczym kręgle), w palanta, dwa ognie (piłką szytą ze szmat) i tym podobne. Ważnym zajęciem było kolekcjonerstwo. Zbierałam znaczki pocztowe i wydmuszki jaj ptasich. Jajka należało samemu podebrać, gdyż dyshonorem było mieć jajko nie zdobyte przez siebie. To zajęcie, patrząc z perspektywy czasu, było bardzo pożyteczne. Ja dzisiaj nie wiem 10% tego, co wiedziałem wówczas o życiu i zwyczajach ptaków. A ile przy tym było przygód!

Wydaje mi się, że tak hobby jak i większość nawyków przyswojono od tubylców, chociaż trudno ich nazwać ludnością tubylczą. Była to bowiem mieszanina wielonarodowościowa. Od ludności miejscowej, po dość szybkim zaaklimatyzowaniu się, przejęto też cechy samodzielności i walki o przetrwanie. Duża samodzielność dzieci miejscowych, a później i nas, wynikała przypuszczalnie z kilku powodów, a mianowicie wcześniejszego dojrzewania, surowego klimatu, braku opieki i trudnych warunków życiowych. Na potwierdzenie pierwszej tezy mogę powiedzieć, że znane mi są wypadki, kiedy 8-9 letnie dziewczynki zażywały miłości na wzór ludzi dorosłych i nie wywoływało to zgorszenia. Chłopcy w tym wieku doskonale posługiwali się młotkiem, siekierą, piłą czy strugiem. Obowiązkowo palili papierosy. Narty, łyżwy czy sanki były robione we własnym zakresie. Jeszcze dzisiaj jestem w stanie zrobić narty w oparciu o tamtą technologię.

Były zabawy, ale była i szkoła. W szkole przeżyłem wiele przygód, jako niesforne dziecko. Wspomnę tylko, że byłem trzykrotnie wyrzucany. W szkole tej, bodaj w 1944 roku, utworzono dwie klasy narodowościowe, polską i kazachską, z tym, że polska klasa była poza programowa. Budynek szkoły był murowany, parterowy. Klasy nieduże, ale widne i czyste. Na ścianach portrety. Dużo portretów. Naprzeciw nad tablicą portret Stalina. Książki, zeszyty były własnością szkoły. Zeszyty były używane przez starsze roczniki w latach poprzednich, a my pisaliśmy w wolnych przestrzeniach między wierszami. O żadnej kaligrafii nie było więc mowy. Uczyla nas młoda nauczycielka, chyba bardzo młoda. A jak uczyla? Posłużę się przykładem. Otóż, gdy moja matka zakupiła sobie pewnego razu ze Stalina, o którym ja z zachwytem jej

opowiadałem (po przeczytaniu jakiejś książeczki), postanowiłem matkę zadenuncjować na NKWD. Uczyniłbym to z pełną świadomością, gdyby nie to, że NKWD było oddalone od osady o kilkanaście kilometrów. Dopiero dużo później zrozumiałem, dlaczego młodzi żołnierze rzucali się na otwory w bunkrach z okrzykiem za Stalina. Oni w takiej ideologii zostali wychowani. W szkole codziennie przed lekcjami odbywał się apel, na którym omawiano doniesienia z frontu oraz bohaterskie czyny dowódców i pojedynczych żołnierzy. Pomimo że byliśmy daleko od frontu, to jednak nie unikaliśmy psychozy wojny. Były próby zaciemnienia, było zdobywanie sprawności (GTO - Gotow k Trudu i Oboronie), posługiwanie się maską i granatem. Starsze dzieci posługiwały się bronią. Ach, jak ja im zazdrościłem.

Szkoła to ideologia marksistowska, bazująca na myślach wodzów rewolucji. Wprawdzie rano i wieczorem odmawiałem pacierz i to głośno, śpiewałem „Boże coś Polskę”, ale w duchu Stalin był mi bliższy od Boga. Do tego stopnia byłem odkatechizowany, że gdy wracaliśmy do kraju, gdzieś na Ukrainie czy Białorusi, wstąpiłem z kolegą do kościoła, aby zobaczyć jak wygląda ta świętość, o której tyle rodzice mówili przez cały czas pobytu na zesłaniu. Poza pięknym wnętrzem (renesans przemieszany z barokiem) naszą uwagę przykuła jednak głównie skarbonka, do której wrzucono monety. Szybko opracowałem plan opróżnienia skarbonek. Do realizacji jednak nie doszło, jeszcze oberwało mi się od matki za to, że jak jej doniesiono, nie zjąłem w kościele czapki. A skąd miałem o tym wiedzieć?

Szkoła - to sympatie i antypatie. Nie lubiliśmy Kazachów. Żyliśmy w zgodzie z Rosjanami. Pod pojęciem Rosjanin mieścił się tu każdy, kto nie był Kazachem, Żydem, Tatarem lub Niemcem. Niemców nienawidziliśmy, i my i Rosjanie i Kazachowie. Chodził ze mną do klasy Niemiec. Był przeraźliwie chudy. W największe mrozy miał na sobie tylko koszulę i czasem był owinięty w dziurawą, wełnianą chustę, a na nogach, miast „welonek”, zwykłe szmaty. Mróz dochodził do 50 °C. Zapamiętałem go nie dlatego, że był „faszystą”, ale dlatego, że codziennie widziałem, jak na lekcjach wyjmował spod koszuli wszy, gryzł je i połykał. Robił to z głodu. Dzieci są okrutne. Nikt z faszystą nie rozmawiał, nie bawił się. Nawet nie wiem, czy jeszcze żył, gdy wyjeżdżałem do kraju. Wątpię. Nie lubiłem Niemców, choć to właśnie Niemiec, lekarz zesłaniec, uratował mi życie, gdy tuż po przyjeździe zachorowałam na zapalenie płuc. Nie miałem prawa żyć. A jednak.

Tak było w szkole. Lecz poza szkołą i zabawą była proza życia codziennego. Było codzienne iskanie w głowie i bieliznie pospolitych insektów zwanych wszami. Była walka z pluskwami, których obrzydliwy zapach czuję do dziś. Higiena osobista polegało na codziennym myciu się w domu. Raz na

miesiąc, nieraz częściej, można było wykąpać się w „bani”. Łaźnia przeznaczona była na określoną liczbę osób. Bardzo często, gdy była mniejsza ilość osób chętnych do kąpieli, wpuszczono razem mężczyzn i kobiety, nie mówiąc już o wyrostkach.

Zadaję sobie często pytanie, czy byłem głodny? Próbowałem też przypomnieć sobie „smak” głodu. Nie mogę. Nie mogę więc stwierdzić, że byłem głodny, choć nie da się tego wykluczyć. Pamiętam, że dla pozyskania kromki chleba łąziłem po stromych skałach, ale podobno i psy łąziły za mną, a ja karmiłem je chlebem. Pierwszych lat dokładnie nie pamiętam, ale nie mogło być źle, skoro ojciec pracował w kopalni złota. Były więc kartki na chleb, mąkę, a nawet tekstylia i inne drobiazgi niezbędne w życiu codziennym. Otrzymywane artykuły nie spożywcze można było wymienić w kołchozach na żywność. Ponadto w tej fazie zsyłki mieliśmy do spółki z rodziną Markiewiczów „autentyczną” krowę. Niestety tylko jeden sezon (nie było paszy na zimę). Po trudach związanych z załatwianiem uboju, została zabita i zjedzona. Później mieliśmy kozę. Było więc mleko, mięso z młodych kozłat, opał (kiziaki) i budulec ocieplający. Sytuacja uległa radykalnej zmianie, gdy ojca powołano do wojska i gdy zawiadomił nas, aby wszystko sprzedać i być przygotowanym na wyjazd na Bliski Wschód. Nie wyjechaliśmy i należało zagospodarować się od nowa. Uratowała nas maszyna do szycia, którą matka kupiła za przedwojenny garnitur ojca (poza budzikiem ostatnia rzecz z Polski). Maszyna ta, napędzana korbą ręczną, była dla mnie zmorą i ratunkiem. Zmorą, bo musiałem często godzinami kręcić korbą, gdy matka potrzebowała mieć obie ręce wolne do przesuwania materiału. Zbawieniem zaś dlatego, że stała na stole. Stół stał na środku izby, gdy matka chciała mnie zbić, a zamiary takie miewała często, to ganialiśmy się wokół stołu, ona z pasem, ja z krzykiem. Na ogół wygrywałem.

Dzięki posiadaniu maszyny i zdolnościom matki, okres po wyprowadzeniu wojsk przez generała Andersa przeżyliśmy nędznie, ale względnie stabilnie. Tym bardziej, że matka szyła, (przerabiała) głównie na potrzeby żon Naczelnika osady i dyrektora kopalni. Wiem, że jadłem kluski, pierogi zupy mleczne z jakimiś krupami, mięso kozie i coś tam jeszcze. Pamiętam też, że podczas całego pobytu jeden raz jadłem zamrożone na kość jabłko, co stanowiło nie lada rarytas. W początkowym okresie jadłem dwa razy cukierki, formą przypominające landrynki. Przed wojną musiały tam docierać, bo dzieci znały smak „konfietek”. Paczek od ojca w zasadzie nie otrzymywaliśmy, a te, które dotarły, były bezwartościowe. Ojciec mówił, że on wpłacał pieniądze, a resztą zajmowała się specjalna spedycja. Na początku 1946 roku ojciec napisał, żeby być przygotowanym na powrót do kraju. Podobne listy otrzymywały też inne rodziny. Nie wierzono. A jednak się

stało. Matka przygotowała cały worek sucharów, który, prawie nienaruszony, dowiozła do Polski.

Było to na przełomie marca i kwietnia. Na jednym z bezśnieżnych pagórków graliśmy w kości. Ktoś krzyknął, że wyjeżdżamy do Polski. Ludzie ściskali się, całowali. Wiadomość była pewna. Był wyznaczony dzień wyjazdu. Rok 1946. Wiadomość tą przyjąłem obojętnie, przecież ja Polski nie znałem. Ludność miejscowa, nie Kazachska, strasznie nam zazdrościła. Chyba byli to też przesiedleńcy. Dzieci składały zamówienia, co im przysłać w paczkach Polski.

Kola Panomarow - mój przyjaciel, nota bene syn naczelnika osady, zamówił u mnie drewniany piórnik. Ja takiego nie miałem, bo bym mu zostawił. Do dziś mam wyrzuty sumienia, że go nie wysłałem, a tyle ich się walało po strychach domów opuszczonych przez Niemców. Płakał, gdy żegnaliśmy się. W swej naiwności obiecałem, że przyjadę do niego. Dobrze, że nie musiałem.

Do kraju wracaliśmy zaprzęgiem wołowym, samochodami, barką rzeczną i pociągiem. W Moskwie był dłuższy postój. Stworzono możliwość zwiedzania Moskwy samolotem wycieczkowym. Do dziś nie wiem, jak to się stało, że mnie tam nie było. Podczas transportu miałem problem z paleniem papierosów (skrętów) w tajemnicy przez matkę. Zresztą nie tylko ja. Paliłem od 9 roku życia, wprawdzie nie duże ilości, gdyż były trudności ze zdobyciem machorki, ale pociąg miałem silny. W pierwszym etapie podróży chleba w zasadzie nie otrzymywaliśmy. Im bliżej jednak granicy z Polską, częściej można było go dokupić. Wjeżdżając zaś na byłe ziemie polskie, po raz pierwszy od 6 lat zetknąłem się z białym pieczywem. Po przekroczeniu granicy była taka rozmaitość pieczywa, że zostało to potraktowane jako propaganda, podobna do tej, z jaką zetknęliśmy się po przyjeździe na miejsce zesłania. Pamiętam, że zaraz po przekroczeniu granicy w biegu wskoczył do naszego wagonu fryzjer. Był to pierwszy Polak, z jakim zetknęliśmy się po tej stronie granicy. Zasypano go gradem pytań o polską rzeczywistość. Jemu również nie dawano wiary. Niezapomniane przeżycia, gdy przejeżdżaliśmy chyba przez Wisłę, gdy ktoś wyrzucił z wagonu do rzeki worek z sucharami. Potem był drugi i trzeci. Nastrój udzielił się wszystkim i tak z wszystkich wagonów leciało do rzeki to, co jeszcze tak niedawno stanowiło świętość i było podstawą przetrwania. To był moment, w którym Polska przekonała do siebie powracających tułaczy. Matka nie wyrzuciła. Zawiozła na wieś, do rodziny i płakała, gdy świnię to pałaszowały. Patrzyłem na płaczącą matkę i też było mi jakoś nieswojo.

W Gdańsku nastąpiło rozcłonkowanie transportu. Nasza grupa trafiła do Lipian. Zakwaterowanie nas w szkole. Przez krótki okres pobytu tam chodziłem łowić ryby, raki, łąziłem po strychach i porzuconych przez Niemców

mieszkaniach. PUR dostarczał jedzenie, UNRA – odzież, nie musiałem bić się o dostęp do czegoś. Tam właśnie po raz pierwszy poczułem się dumny, że jestem Polakiem. Ach! Jak ja wówczas chciałem, żeby zobaczyli to moi przyjaciele z Kazachstanu. Pamiętam pole obsiane słonecznikiem, duże, nieogrodzone. Tam skąd wróciłem też było pole słonecznikowe, ale było ogrodzone i chodził stróż z karabinem. Wyglądał groźnie, ale my i tak pustoszyliśmy mu pole. Ścinałmy na odległość, puszczając blaszkę w kształcie śmigła ze szpulki od nici. Szpulka, wprawiona w obrót przez pociągnięcie nawiniętego nań sznurka, w wyniku działania siły odśrodkowej, zwalniała śmigło, które przy odpowiedniej wprawie mknęło w wyznaczonym kierunku. Ścięte słoneczniki przyciągało się długimi drutami. A tutaj nikt nie pilnuje. Szkoda, że były nie dojrzałe, dziwna ta Polska.

Na przełomie lipca i sierpnia udaliśmy się z matką do rodziny w Małopolsce. Dokładnie po roku pobytu tam, w 1947 roku, wrócił ojciec z Zachodu i przeprowadziliśmy się już z całą rodziną do Bystrzycy Kłodzkiej. Tam też spędziłem resztę swojej młodości, kończąc w 1953 roku szkołę średnią. W latach 1953-1957 studiowałem na Politechnice Wrocławskiej, od 1958 roku mieszkam w Zgorzelcu. Pracowałem w przemyśle lekkim, ciężkim, ale głównie w rolnictwie. Należałem do PZPR. nigdy nie ukrywałem, że byłem deportowany. Nigdy nie ukrywałem, że jestem wierzący.

Wiersze Rafała Paszka

Spis treści

W KAZACHSTANIE

1. Wschodni Kazachstan
2. Zapomniane dzieciaki
3. Chleb czy sława
4. Dwóch takich
5. Opozycjonista
6. Odcienie prawdy
7. Czerwona Gwiazda
8. Ślubny garnitur
9. Wspomnienia wigilijne 1
10. Wspomnienia wigilijne 2
11. Ornitologia
12. Śmierć przyjaciela
13. Zakochałem się
14. Upadek życia
15. Wredne koźlaki
16. Bój z pluskwami
17. Wyliczanka

- 18. Dusza ludu
- 19. Atropos na akordzie
- 20. Widma o zmroku

POWRÓT

- 21. Ślad Zesłańca
- 22. Powrót
- 23. Kukielka
- 24. Wyrzuty sumienia
- 25. Szerokie tory
- 26. Spotkanie z kościołem
- 27. Słoneczniki

WSPOMNIENIA PO POWROCIE

- 28. Stracone suchary
- 29. Na odwyku
- 30. Okruchy chleba
- 31. Ekspонат
- 32. Platerówka
- 33. Gloryfikacja Stalina
- 34. Miedziane obrączki

REFLEKSJE Z SYBERII

- 35. Niepewność
- 36. Powrót do kraju
- 37. Zbieżność dat
- 38. Komu to potrzebne
- 39. Sybirackie refleksje
- 40. Roztropność
- 41. Afirmacja życiorysu
- 42. Kombatant
- 43. Duchy Przeszłości
- 44. Rozważania hipotetyczne
- 45. Prelegent
- 46. Nad grobem matki
- 47. Kobiety polskie
- 48. Msza Sybiraków

KOŁO SYBIRAKÓW

- 49. Jest taki pomnik

- 50. Pomnik Sybiraków
- 51. Nasz sztandar
- 52. Tablica pamięci
- 53. Wigilia Sybiraków
- 54. Koło historii
- 55. Minuta ciszy

1.W KAZACHSTANIE

Wschodni Kazachstan

Chciałem przybliżyć sobie i innym,
Co przechowała pamięć ulotna
Z miejsca, na którym mnie umieściła
Historia polskich dziejów przewrotna.

Wschodni Kazachstan. Oblast radziecka,
Dokąd zostałem deportowany
I gdzie spędziłem swe młode lata.
Kraj mgłą tajemnicy dla mnie owiany.

Osiedle -wokół góry i skały,
Między górami wije się rzeka.
Jest kilka mostów, kładek i przepraw,
Woda - czystością nurtu urzeka.

Droga przecina zakola rzeki,
Jeśli choć skrawek znajdzie doliny.
Przy niej powstały domki, baraki,
Po niej w las jadą wołów drużyny.

Niektóre domki zawisły wyżej,
Wykorzystując łagodne stoki,
Lub pozostałe - po wydobyciu
Żyły rud złota- skalne uskoki.

Ludność osiedla - to przesiedleńcy,
Związani głównie z rud wydobyciem.
Gdzieś na obrzeżach, kazachskie klany
Też pretendują do chęci życia.

„Rudnik” ma szkołę i mini szpital,
Sklepik, gdzie rację chleba przyznana,
Lub inny towar wykupić można.
Ma też świetlicę „Klubem” tu zwaną.

Jest elektryczność, woda źródłana,
Na kilku słupach wiszą głośniki,
Które co pewien czas informują,
Jakie osiąga armia wyniki.

Z flory niewiele zapamiętałem.
Sądzę, że była przeto uboga.
Klimat przestrzegał czterech pór roku.
Lato upalne, zima zaś sroga.

Z fauny najlepiej poznałem – ptaki.
Stałem się niemal ornitologiem.
W rozpoznawaniu ich przyzwyczajęń
Żadna przeszkoda nie była progiem.

Gdzieś w perspektywie granic „rejonu”
Są osadzone małe kołchozy.
W ramach wymiany można z nich przynieść
Mąkę, sól, zboże lub ochłap z kozy.

Ludność osiadła raczej życzliwa,
Chociaż w momencie nas „dostarczenia”
Władza podjęła perfidną próbę
Nas wzajemnego z sobą skłócenia.

No a Polacy? Jak to w rodzinie.
Jak w różnorodnej etnicznie grupie.
Jednak się zawsze znajdzie „prowodyr”,
Który Polaków utrzyma w kupie.

Zapomniane dzieciaki

Zaprzężone w stare woły
Suną sanie śnieżnym torem.
Pokrzykują poganiacze,
Żeby zdążyć przed wieczorem.

Woły wiedzą jednak swoje.
Znowu noc pod gołym niebem.
Nie przywita więc „Naczelnik”
Polskich gości „solą, chlebem”.

I dopiero w dzień następny
Osiągnięto cel podróży.
Odwszawiono, wykąpano
I wskazano barak duży.

A woźnicy swoje woły
Kotlinami w las pognali.
Nas przywieźli „przy okazji”
Cel właściwy- przewóz bali.

Zaś w baraku zaskoczenie.
Pełna wolność ciała z duszą.
Jeden tylko mały aspekt,
Wszyscy zmieścić się tu muszą.

Spory, kłótnie, krzyki, płacze,
Jak to między Polakami.
Zapomniano w tym ferworze
Co się dzieje z dzieciakami.

I tu wielka rzecz się stała,
Że dzieciaków zgraja mała
Wspólne życie w tym baraku
Pierwsza zorganizowała.

W pewnej izbie, samorzutnie
Zrobił zbiórkę ktoś z dzieciaków.
Zebrał wszystkich w jednym miejscu,
Od maluchów po starszaków.

Cel był jeden, by maluchy
Nie wpadały w przygnębienie,
Uświadomić skąd pochodzą,
Gdzie są przodków ich korzenie.

Był więc pieśni śpiew chóralny,
Patriotycznych i swawolnych,
Recytacje i dowcipy
I streszczenie lektur szkolnych.

Każdy chciał zaimponować,
Lecz prym wiodła młodzież szkolna,
Wychowana patriotycznie,
Od cen strachu jeszcze wolna.

Mnie najbardziej zachwycali
Bohaterów bajek czyny,
Tak, że brakowało czasu
Do połknięcia własnej śliny.

Wychowany w samotności,
Na gajówce, blisko lasu,
Nikt z rodziców bając bajek
Nie miał chęci ani czasu.

Stąd mój zachwyt treścią bajek
I czekanie na tę chwilę,
Kiedy znów otworzę buzię
I przeżyję przygód tyle.

Na tych zbiórkach kilkanaście
Przesiedziałem ja wieczorów.
Przeżywałem czyn szlachetny
I nienawiść do potworów.

Wkrótce wszystko się rozpierzchnęło,
Proza życia wzięła górę.
Każdy w pierwszej kolejności
Zaczął dbać o własną skórę.

Kto dał sygnał pierwszej zbiórki?
Gdybym dziś ustalić zdołał,
To z szacunkiem i uznaniem
Nogi bym mu wycalował!

Chleb czy sława

Tam gdzie byłem szkoła była.
Komsomołka w niej uczyła
(Takie były wówczas czasy).
W szkole były 4 klasy.

Piąta klasa w szkolnym gmachu
Należała do Kazachów,
Których uczył Kazach młody
Z płowym wiechciem w miejscu brody.

W przerwach lekcji, często sami,
Lub w sojuszu z Rosjanami,
Tych potomków „koziej matki”
Myśmy kładli na łopatki.

Kiedyś równo z dzwonka dźwiękiem
Rozkręconym kólek pękiem
Jeden Kazach „nie honornie”
Łeb rozwalił mi potwornie.

Tego polska krew niestety
Znieść nie mogła bez wendety.
Nawet podczas lekcji trwania
Nie uniknął Kazach lania.

W klasie byłem dzięki temu
Równy niemal Budionnemu,
Który za frontowe czyny
W klasie miał popiersie z gliny.

Za ten wyczyn już po chwili
Mnie ze szkoły wyrzucili.
A do szkoły chodzić trzeba,
Bo się traci przydział chleba.

Bym się mógł do nauk zgłosić
Tego z brodą mam przeprosić.
Jak poradzić to człowieku
Z dylematem w takim wieku?

Co mam wybrać? Honor, sławę?
Czy też kartkę na potrawę?
Bym nie łamał długo głowy
Matka miała plan gotowy.

Wstyd mi mówić na ten temat,
Jak się skończył mój dylemat.
Kres położył mej udręce
Gruby pasek w matki ręce.

Dwóch takich

Ja - byłem Polakiem.
On zaś - był Litwinem.
Ja - z ojca leśnika,
On był cieśli synem.

Ja chudy i długi,
On krępy, nieduży.
Opinia zaś wspólna
„Paskudne łobuzy”.

Łączyła nas zasię
Wojów polskich cnota.
Niepohamowana
Do bójek ochota.

Były chwile wielkie,
Kiedy to we dwójkę
Z większą liczbą osób
Wszczynaliśmy bójkę.

Były też i przykre,
Kiedy w triumfu stanie
Powracającemu
Szykowano lanie.

Ale też wymierne
Bywały profity,
Gdy na ochroniarzy
Brał nas Kazach bity.

Bity był najczęściej
Przez kazachskie klany,
Za to, że chciał zostać
Zrusyfikowany.

Bo miast do kazachskiej,
Szedł do ruskiej klasy.
Dla nas taki Kazach
To był kąsek łąsy.

Bowiem za ochronę
Płacił miedziakami,
A Kazachy bójek
Unikali z nami.

Były to pieniądze,
Więc z rączki do rączki,
Które przykuwałem
Na „złote obrączki”.

Te zaś szły po rublu,
A z inicjałami
Lub grawerowane
Rubel z kopiejkami.

Muszę tu nadmienić,
Że tam w Kazachstanie
Chłopcy w moim wieku
Wszyscy byli w stanie

Zrobić dla swych potrzeb
Sanki, łyżwy, narty,
Każdy inny przedmiot,
Jeśli był coś wart.

Tam się dojrzewało
Nie przez całe lata.
Tam, co miesiąc inna
Była poczęć data.

Tan w odwadze, ale
I cwaniacki spryacie,
Można było tylko
Liczyć na przeżycie.

Tam wychować dziecko
Dobrze ułożone
Było nie możliwe.
Byłoby stracone.

Stąd niemal codziennie,
Nie zaś tylko czasem,
Me intymne miejsce
Rozpieszczano pasem.

Opozycjonista

Przyznam się szczerze, chociaż ze wstydem,
Że „na nauki” nie miałem chęci.
Jeślim zaliczył jakoweś szkoły,
Pomogło szczęście i wszyscy Święci.

Pierwszy mój kontakt ze szkolnym światem
Przygotowali wcześniej Sowietci
(znosząc uchwałą analfabetyzm).
Był to rok wojny-czterdziesty trzeci.

Wśród kazachstańskich skalnych plenerów,
Niedożywiony, na poły goły,
Pod groźbą kary (więc pod przymusem)
Wszedłem w wierzeje rosyjskiej szkoły.

Już jako dziecko musiałem zatem
Stawiać radzieckiej władzy opory.
Ale niestety, mój opór łamał
Pas w ręce matki, rozmiarów sporych.

W szkole tej wszystko było państwowe,
Książki, zeszyty, atrament, pióra,
Nawet myśl własna. Jedną rzeczą
Na wynos była szkolna lektura.

Zeszyty były już zapisane
W poprzednich latach. Często z kleksami.
Myśmy musieli kaligrafować
W wolnych linijkach między wierszami.

Ja potrafiłem z małego kleksa

Uczynić prawie dzieło Picassa,
Więc się zdarzało, że za sabotaż
(Proszę, znów opór!) „weg” byłem z klasy.

W klasie tablica, nad nią portrety,
Było na ścianach ich co nie miara.
Część w garniturach, reszta w mundurach,
Lecz nie dostrzegłem portretu cara.

Jeden rząd ławek dwuosobowych
I duża szafa na tylnej ścianie.
Nauczycielki stół przy tablicy,
Zaś obok pudło na karne stanie.

Pudło to było prawie jak moje,
Znałem nań wszystkie drobne szczegóły.
Za co tam stałem? Jasne. Za opór!
Nie widzę bowiem innej reguły.

Tak zaliczyłem prawie trzy klasy.
Pomocą służył mi pas skórzany.
Były więc kartki na przydział chleba
I patriotyczny opór złamany.

W tej chwili może nawet żałuję,
Iżem nie zgłębiał nauki sfery.
Bo dzisiaj nie wiem, kto mi ma przypiąć
Za bierny opór na pierś ordery?

Mógłbym mieć nawet odszkodowanie
Za przeżywane w torturach bóle.
Za to, że pasek, łamiąc pory,
Siekł bez skrupułów moje półkule.

W czterdziestym piątym, gdy zezwolono
W szkole po lekcjach uczyć polskiego,
Ja w opozycji znów się znalazłem.
W ramach oporu? Nie! Więc dlaczego?

Odcienie prawdy

Mała czy duża, w piekle czy w niebie,
Każda społeczność ma to do siebie,
Że musi swego mieć przewodnika.
Dobrze, gdy jest to człowiek na miarę,
Który nie składa z życia ofiary,
Ale się wczuwa w rolę cadyka.

Nasz przedstawiciel, tu sekret zdradzę,
Był samozwańcem, przejmując władzę
W Radzieckim Kraju - nad Polakami.
By w przemyśle działań mieć spokój,
Dostał z rodziną oddzielny pokój
Z wejściem od frontu, z mocnymi drzwiami.

Miał dodatkowe także profity,
Na chleb z przydziału większe limity.
Także w robocie miał lepsze fory,
Nie wszedł w skład wojska Armii Andersa,
Nie wzięła także go Armia Pierwsza.
Na czas poborów umiał być chory.

Opinię dostał kombinatora,
Nikt nie dostrzegał w nim gladiatora.
Nie miał szacunku. Facet był zgrany.
Zmianie uległy znamiona twarzy,
Kiedy dotarły z Moskwy rozkazy
Obywatelstwa polskiego zmiany.

Pierwszy zasiedlił więzienne cele,
Choć w jego ślady poszło niewielu.
Wyszedł ostatni naprawdę chory.
Wyrósł prawdziwy wódz skalnej gleby,
Choć już nie było takiej potrzeby,
Bo wkrótce znikły władzy rygory.

Czyn ten sprowadził na mnie kłopoty,
Kogo nazywać mianem patrioty?
Kto w owych czasach był męczennikiem?
Czy człek ten będąc typem cwaniaka,
Może być także wzorem Polaka?
Czy słusznie dać mu miano nędznika?

Pytań jest wiele. Mniej odpowiedzi
O prawdzie z życia, gdy się je śledzi.
Prawda ma zawsze kilka odcieni,
Wybór jest trudny, na życie całe,
Chociaż nie wszystko jest czarno-białe,
Zima lub lato. Bez barw jesieni.

Czerwona gwiazda

Czerwona gwiazda na białym śniegu,
Pięcioramienna, z sierpem i młotem.

Na syberyjskiej leży przestrzeni,
Na niej szkielety leżą pokotem.

Ramiona gwiazdy nierównomierne,
Jakby je kładły męczeństw wymiary.
Komi, Czukotka, Irkuck, Kazachstan,
Katyń i wokół niego obszary.

Na szczytach gwiazdy broń repetują
Enkawudziści spod ciemnej gwiazdy.
Z czerwonej gwiazdy, czerwone ręce,
W krwawej czerwieni upaprał każdy.

Z czerwonej gwiazdy w drutów oplocie
Wieże strażnicze pną się do nieba.
W środku łopocze czerwona szmata,
Spod niej wypelza śmierci ameba.

Czerwona gwiazda niczym Charybda
Wsysa w swą otchłań liczne szkielety
I przepoczwarza symbole trudu:
Młot na karabin, sierp na bagnety.

Czerwony otok z czerwoną gwiazdą
Pędzi szkielety w tajgę, na zwałkę,
Gna na kopalnię, torów budowę,
Piwnic aresztu, lub na rozwałkę.

Z każdym dniem mniej jest w obrysach gwiazdy
Żywych szkieletów zdolnych do pracy.
I tylko krzyże, których przybywa
Mówią, że w grobach leżą Polacy.

Czerwona gwiazda na białym śniegu
Toż profanacja barwnego ludu.
Pozwól mi Boże, przykryć tę gwiazdę
Polskim sztandarem. Dokonaj cudu.

Ślubny garnitur

Czerwonoarmista,
Lecz coś miał z człowieka
Ten, który nad ranem
Brał nas na zesłanie.

Wiedział, choć nie mówił,
Jaki los nas czeka,
Tylko podpowiadał
Czym wypełnić sanie.

I teraz Matula,
W trzecim zsyłki roku,
Patrzy z łzami w oczach
Na puste kuferki.
Poszły na wymianę
Za garstkę obroku
Zdobne w haft makatki,
Dziergane sweterki.

Z czym się teraz udać
W kołchoźników chaty?
Co można wymienić
Na mąkę czy krupy?
Nikt przecież nie zechce
Jej sukienki w łaty.
W snach się znów pojawią
Trupy, trupy, trupy...

Będą za nią chodzić
Chrzęszczące szkielety
Z wyciągniętą ręką
Po kawałek chleba.
Kościotrupy głodne
Pójdą spać. Niestety,
Jutro jest dzień nowy,
Też go przeżyć trzeba.

A jednak jest jeszcze
Rzecz cenna niezmiennie,
Schowana głęboko
Na czarne godziny,
Która z dna kuferka
Obserwuje biernie
Zmagania matuli
O życie rodziny.

Często ją wyjmuje,
Popatrzy i chowa.
Raz krócej, raz dłużej,
Łzy moczą policzki.
Wspomnienia nachodzą,
Z żalu pęka głowa,
Ten kościół, ten ołtarz,
Powozy i bryczki.

Nie, jeszcze nie teraz,
Może da się przeżyć
Dzień jeden, dwa, tydzień,
Wiosna wszak już bliska.
Może coś się zmieni?
Ona pragnie wierzyć,
Że krzyże zostaną
Lecz bez jej nazwiska.

Wybudzona ze snu
Modli się w rozpacz,
By Bóg jej Go zwrócił,
Że na niego czeka.
Pan Bóg przecież może,
Cóż dla niego znaczy
Nie pozbawić życia
Jednego człowieka.

Bóg męża jej zwrócił
Lecz dopiero w kraju.
Przeżył on czas wojny
I trudy obozu,
A ślubny garnitur
Tegoż roku w maju
Naciągnął na grzbiet swój
„Naczelnik” kołchozu.

Wspomnienia Wigilijne I

Ponieważ już czuję,
Że dzień ten nadchodzi,
Gdy ciszą minuty
Zostanie uczczona,
Opowiem Wigilię
W uczuciach mieszaną,
Gdy Jezus się rodzi,
A bliski ktoś kona.

Rok czterdziesty pierwszy,
Syberyjska zima,
Wokół tylko drzewa
I kilka baraków.
Zbliża się wigilia,
Zima mrozem trzyma.
Nadzieja zaś trzyma
Przy życiu Polaków.

Stół. Przy stole babcia,
Mama, ja i Bolek.
Na pryczy pod ścianą
Mała Dela leży. Jest umierająca,
Nie ma na to rady.
Nawet w taki wieczór
W cuda nikt nie wierzy.

Na stole różaniec,
Pod obrusem sianko,
Zupa z kilku krupek,
Cztery kromki chleba
I z chleba przez Babcię
Zrobiony opłatek,
Którym w jakiś sposób
Podzielić się trzeba

Po złożeniu życzeń
Wzajemnych przy stole,
Zostały złożone
Życzenia Adeli.
Nie zdrowia, nie szczęścia,
Nie długich lat życia,
Lecz by ją do nieba
Aniołkowie wzięli.

Każdy jej przykładał
Do ust rozpalonych
Okruchy opłatka,
Całował w policzek
Mizerną kruszynę
I składał życzenia,
Trzymając za rączkę
Chudą jak patyczek.

Łzy same kapały
Żalem mocząc buzię
Rok temu pyzată,
Dziś kostki pod skórą.
I trudne pytanie,
Z kim przegrano walkę
O życie Adeli,
Z Bogiem czy z naturą?

Po krótkim posiłku
Ktoś pierwszy zanudził
„Gdy się Chrystus się rodzi”,
Potem „W żłobie leży”
I wszyscy wiedzieli,
Że z dwuletnią Delą

Nie spędzą już razem
Następnej wieczerzy.

Przy dalszych kolędach
Półgłosem nuconych
Widziałem jak Dela
Poruszyła głową
I usta cichutko
Wyszeptały „mamo”
I było to w życiu
Jej ostatnie słowo.

Lecz bólu nie było,
Norma wyczerpana.
Z bólem tak jak z tajgą,
Rozważnym być trzeba.
Jutro jest dzień pracy,
Normę trzeba zrobić,
Żeby na przeżycie
Mieć kawałek chleba.

Dziś już śmierć nie boli.
Jedynie świadomość
Niemocy przy życiu
Utrzymania siostry.
Jej grób zagubiony
Gdzieś na skraju tajgi,
Przy każdej Wigilii
Zadaje ból ostry.

Wspomnienia wigilijne II

Kto tego nie przeżył,
Nie zaznał naj... naj...
Kto tego nie przeżył
Nie miał szczęścia zadość.
Nie wie, co to niebo,
Nie wie, co to raj,
Gdy smutek bez granic
Przemienia się w radość.

Republika Komi,
Własność Kraju Rad.
Na stole wieczerza,
Galowy strój w łąty,
Śpiew kolęd, po cichu,
Tych samych od lat.
Z tą tylko różnicą,

Że nie ma dziś Taty.

Zabrali go w czerwcu,
Innych kilku też.
Pognali przez tajgę
W nieznanym kierunku.
Nie miały znaczenia
Żon strumienie łez.
Dla „wrogów narodu”
Nie było ratunku.

Pędzili pod bronią,
Przepadł po nich ślad.
Na liczne pytania
Żadnej odpowiedzi.
Jeśli jeszcze żyje,
To w wyniku zrad
Ktoś ma kromkę chleba
A on w „turmie” siedzi.

Wigilię czas kończyć,
Kolęd śpiewu dość.
„Obfita” wieczerza
Spożyta w całości.
I wówczas w drzwiach stanął
Nieproszony gość.
Maszkara, w łachmanach
Kryjąc swoje kości.

Najpierw przerażenie,
Co to stoi w drzwiach?
Brudne, zarośnięte,
Odmrożone uszy.
Przyodziany w zimie
Jeszcze w letni łąch.
Czemu to to stoi?
Kiedy to się ruszy?

Kiedy się odezwie?
Niechby sobie siadł.
I nagle mamusia
Krzyknęła Bazyli!
On zrobił dwa kroki
I na ziemię padł.
Nie było więc końca
Pamiętnej wigilii.

Tatuś się odnalazł
I to w taką noc,
Jak musiał nas kochać?

Jak tęsknił za nami?
Jak silny był duchem?
Jak wielką miał moc?
I teraz zaczęto
Zalewać się łzami.

Odniosłem wrażenie
Jakby przez ten próg
W postaci Łazarza
Przeszła taty dusza,
Którą później w ciało
Opakował Bóg,
By razem się cieszyć
Z narodzin Jezusa.

Ornitologia

Miał pan Bóg rację tworząc człowieka,
Że przed nim stworzył rodzaj wszelaki,
Robiąc odwrotnie, to już w zarodku,
Człowiek mógł zniszczyć na przykład ptaki.

Zaś ptaki pięknem są tego świata.
Dorównać mogą im tylko kwiaty.
Jak różnorodne wydają dźwięki,
Jaki strój noszą, w barwy bogaty,

Siłą instynktu, może mądrości,
Są w stanie zmylić nawet człowieka.
Z czasem, gdym ruszał na polowanie,
Dobrze wiedziałem, co mnie tam czeka.

A polowałem na ich jajeczka,
Żeby podebrać tuż po złożeniu.
Więc godzinami ich obyczaje
Śledziłem leżąc w pełnym skupieniu.

One wiedziały, że ja je śledzę,
Przeto za nos mnie wodziły często.
Musiałem włączyć w chaszczę kolczaste,
Albo pod krzaki splątane gęsto.

Robiłem z ptasich jajek wydmuszki
Przez jak najmniejsze w jajkach otwory,
Bo tylko tak wydmuchane jajka,
Mogły stanowić kolekcji zbiory.

Miałem już z mlekiem matki wyssane,
Ciągłą potrzebę czegoś zbierania.
Z braku funduszy mizerne były
O wielkie zbiory moje starania.

Jeśli zaś chodzi o ptasie jajka,
Miałem je wszystkie z tego rejonu,
Oprócz orlego. Lecz jego jajka
Nie szło podówczas zdobyć nikomu.

Dość duży problem miałem z kukułką,
Mistrzynią w sztuce dezinformacji.
Dumny też byłem z jaja jastrzębia,
Dzięki udanej mistyfikacji.

Wiozłem je z sobą jadąc do Kraju,
Pomimo słusznej niechęci matki.
Toteż zostały, za jej przyczyną,
Gdzieś zagubione w trakcie przesiadki.

W szkole, już w kraju, miałem biologa
(Lubił prowadzić lekcje w plenerze),
Który, słuchając mych przygód z ptactwem,
Był zaskoczony mą wiedzą- szczerze.

Dzisiaj ma wiedza z ornitologii
Już oscyluje w granicy zera,
Chociaż, gdy patrzę na ich podchody,
Coś tam do mózgu jeszcze dociera.

Śmierć przyjaciela

Strome zbocze, nagie skały,
U podnóża głaz na głazie.
Tak wygląda z perspektywy
Cel wspinaczki w pierwszej fazie.

Celem jest zaś gniazdo ptaka
Umieszczone w skał szczelinie,
A szczególnie młode pisklę,
Jedno z pięciu w tej rodzinie.

Pomijając trud wspinaczki
Po występach stromej ściany,
Być też musi pod uwagę
Podziobania aspekt brany.

Kilka prób i młody jastrząb
Przeszedł na me wychowanie.
Dostał domek, w domku gniazdko
I much kilka na śniadanie.

Wkrótce żarł już tylko żaby,
Żmije, myszy, ptactwo małe.
Zdobywanie żarcie jemu
Zajmowało mi dni całe.

Najtrudniejsze były chwile,
Gdy rozpoczął pierwsze loty.
Czekał bym go zdjął ze skały,
Bo sam nie miał zejść ochoty.

A ponieważ moja noga
Wymagała już leczenia,
Między mną a moją matką
Powstał konflikt pokolenia.

Powiedziała, jeśli zaraz
Coś nie zrobię z tą „cholera”,
Będę dalej za nim biegał,
To mu utnie łeb siekierą.

Nie wierzyłem, lecz się stało.
Leżał martwy obok budki.
Takie były niewspółmierne
Posłuszeństwa braku skutki.

Nie wiem, co na fali uczuć
Niosły moich myśli statki.
Wielki ból po stracie ptaka,
Czy nienawiść do mej matki?

Poplątane uczuć nici.
Na czyn straszny wręcz ochota.
Spazmatyczny wybuch płaczu
Pootwierał w sercu wrota.

Przecież ja go wręcz kochałem.
Miał w moim życiu priorytety.
I już koniec. Już po ptaku.
Już nie będzie go niestety.

Wyprawilem pogrzeb godny,
Grzebiąc ptaka po kryjomu,
W skrzynce z desek, na pagórku,
Bym mógł widzieć z okien domu.

Wkrótce minął żal do mamy,
Życie ma wszak swoje prawa.
Lecz po latach kilkunastu
Znów odżyła tamta sprawa.

Podczas wspomnień na jaw wyszła
Mojej matki serca głębia,
Bo wyznała, z jakim bólem
Pozbawiała łba jastrzębia.

Przeganiała go kilkakroć,
By nie wracał do swej budy,
Ale on miał gdzieś głęboko
W tym zakresie mamy trudy.

Więc musiała go uśmiercić
Popelniając czyn haniebny,
By mnie chronić przed kalectwem.
Taki czyn był wręcz niezbędny.

Wyciągnąłem z tego wniosek:
By ktoś został osadzony,
Muszą działań swoich racje
Wypowiedzieć obie strony.

Zakochałem się

Zakochałem się, przypadek czysty,
W uroczej córce enkawudzisty.
Miałem lat 8 i tyleż ona,
(Ma Beatrycze, ma Desdemona).

Była prześliczna, wschodniej urody,
„Perła wśród wieprzów” najczystszej wody.
Miła, wesoła, czysta, zadbana,
W butach skórzanych, schludnie ubrana,
Z prawdziwą tęczką, co w owe czasy
Było kontrastem w przekroju klasy.

Gdzie Ruscy mieli podarte łachy,
Wiecznie cuchnące łajnem Kazachy.
Żydek głupawy, wiecznie oszczany,
Choć, co sprawdziłem, nie był rzezany.
Niemiec, „faszysta”- nikt z nim nie gadał,
Z głodu insekty iskał i zjadał.
Litwin, ten gęby wszystkim obijał
Z zamięłowania. Choć mnie omijał.

Była na pewno też inna nacja,
Ale wchłonęła ją integracja.

Dozgonną miłość wyznałem w czasie,
Gdy odwszawiano inwentarz w klasie.
Na świadka wziąłem Józka Stalina,
Portret z gazety miała dziewczyna.
Ona przysięgła na „to z krzyżyka”.
Krzyżyk wyprułem nie bez ryzyka.

To była miłość ponadczasowa,
Choć nie padały miłosne słowa.
Enkawudzista nie miał pojęcia,
Że córka ma już dla niego zięcia.
Jak bardzo musiał przeziąknąć strachem,
Gdy się dowiedział, że zięć jest Lachem.
Może to właśnie było przyczyną,
Że wybył wkrótce z całą rodziną.
Uważam zatem za oczywiste,
Że ja przegnałem enkawudzistę.

Gdybym skromności nie miał bariery,
Dziś bym na piersi nosił order.

Upadek życia

Wiele upadków w życiu doznałem.
Sukcesów raczej nie widzę.
W duchu podziwiam ludzi sukcesu,
Choć oficjalnie z nich szydę.

Moje upadki (o nich chcę mówić)
Często bywały bolesne.
I ponosiłem wysokie koszty
Płacąc za naukę czesne.

Zaś obiegowe, znane przysłowie
Mojej dotyczy postaci.
To, że nauka drogo kosztuje
I że za błędy się płaci.

Miałem lat osiem, gdy po raz pierwszy
Wygrałem w klasie zapasy,
Więc najładniejszą dziewczynkę mogłem
Wybrać na własność z tej klasy,

Mogłem z nią siedzieć na parapecie,
Mogłem dotykać jej dłoni.
I podtrzymywać, gdy robi mostek,
Odgarniać włosy z jej skroni.

To było miłe, mieć narzeczoną,
Do której nie miał nikt prawa.
Choć zatruwała te wzniosłe chwile
O jej utratę obawa.

Pech, że mnie wkrótce zmogła choroba,
W szkole nie byłem czas długi.
Kiedy wróciłem już jej nie miałem,
Miejsce me zajął ten drugi.

Robiłem liczne próby odbicia,
Lecz osłabiony chorobą
Za którymś razem dopiero mogłem
Wygrać z zaborczą osobą.

Pełen radości, że odzyskałem
Znów najładniejszą z dziewczynek,
Wziąłem w swe ręce jej drobne dłonie
I zakręciłem z nią młynek.

I tu nastąpił –przy słów zbieżności
Fatalny w skutkach przypadek,
(Z którego nigdy się nie podniosłem)
Mego upadku – upadek.

Bowiem zmęczone ręce wysiłkiem
Nie miały mocy imadła.
Dłonie dziewczyny się wysliznęły,
Twarzą na ziemię upadła.

Stałem jak wryty, ubezwolniony
Niczym biblijny słup soli.
Wstydem oblany od stóp po głowę,
Czując jak wszystko mnie boli.

Czułem się podle, jak zbite psisko,
Byłem atrapą człowieka.
Byłem fajtlapą, dupkiem, niezdara.
Czułem jak wstyd z potem ścieka.

A ona nawet nie zapłakała,
Choć strugą z nosa krew ciekła.
Spojrzała tylko na mnie z wyrzutem
I na korytarz uciekła.

Wiele upadków już zapomniałem.
Z innych się szybko podniosłem.
Ale z tym jednym, upadkiem życia,
Ja dorastałem i rosłem.

Nawet w dniu śmierci, gdy uświadomię
Z jakim ja żyłem afromem,
Wielkością wstydu chyba się zrównam
Z wielkim Tatr szczytem Giewontem.

Wredne kozłaki

Miała mama czarną kozę,
Mleka łyk łagodził głód.
Był materiał na kiziaki
I rozliczna ilość szkód.

Była wredna i złośliwa.
Głupia jak kowalski młot.
Kto to widział, żeby w zimie
Mieć swój pierwszy w życiu miot?

Wyszły z tego dwie koziczki
I okropny jeden cap.
W całym miocie z tego capa
Był prawdziwy capi drab.

Jako że to była zima,
A tam trzyma silny mróz,
Nie przeżyłoby w chlewiku
Pokolenia głupich kóz.

Więc za zgodą współmieszkańców
Mama w izbie jeden ką
Zagrodziła na kształt klatki
I to był jej pierwszy błąd.

Podkarmiane mlekiem kózki
Rosły jak na drożdżach chleb.
Najładniejszy był cap mały,
Ale miał najgłupszy łeb.

Kiedy kózki swej energii
Nadmiar chciały szybko zbyć,
To po kilku dniach dosłownie
Były tam, gdzie chciały być.

Żerdzie brały bez przeszkody,
Żaden dla nich był to trud
I gubiły swoje bobki,
Rozpylające smród i brud.

Żarły to, co napotkały,
Cap mi nawet portki zżuł.
A najgorsze, że też zżarły
Wysuszone pęki ziół.

Oczywiście buszowały,
Kiedy pusty bywał dom.
Więc słyszałem jak je mama
„Na pożarcie odda psom”.

Zatem, żeby mieć na przyszłość
W sytuację pełny wgląd,
Mama kłatkę podwyższyła.
I to był kolejny błąd.

Bo koźlęta już od rana,
Gdy nie piśnie jeszcze mysz,
Zaczynają już trenować
Dyscyplinę skoku wzwyż.

Tak przeżyłem ponad miesiąc
W towarzystwie młodych kóz.
Ich skakania i beczenia
Ponad siły miałem już.

Radość ma nie miała granic,
Gdy się znalazł kupiec nań,
A szczególnie, kiedy zniknął
Ich prowodyr, capi drań.

Fragment z kozą przypomniałem,
Obserwując w sejmie gry,
Gdy się gryzą, warcząc na się,
Polityczne wściekle psy.

Nie pojednał nawet papież,
Ani jego śmierci trud,
Bowiem wokół polityków
Nienawiści wciąż czuć smród.

Jak ich słucham na mównicy,
Przyznam, że mnie w dołku mdli,
Gdy pomyślę, jak zesłańcy
Na ustępstwa sobie szli.

Tam wdychali wszyscy zgodnie
Naturalny kozi smród,
Bo na tyłku społeczeństwa
Z polityków nie rósł wrzód.

Bój z pluskwami

Kiedy żołnierz wojsk radzieckich
Szturm na wroga rozpoczyna,
Słyszy rozkaz od dowódcy:
„Za Ojczyznę, za Stalina!”

Były czasy w Kazachstanie
Iżem krzyknął też czasami:
„Za Ojczyznę, za Stalina”!
Gdym zaczynał bój z pluskwami.

Pluskwy – cimex lectularius
Choć człowieka zgnębić mogą,
Nie są armią regularną,
Partyzantką raczej wrogą.

W dzień schowane w gąszczu szparek
Ścian, sufitów, prycz pokrycia,
Atakują zwykle nocą,
Wypęłzając z miejsc ukrycia.

Śpiący człowiek jest w potrzasku,
Bo nim zacznie bój frontowy,
To podziemie z prycz i podłóg
Rusza w odsiecz na krwie łowy.

Zanim zdążysz front przestawić,
To z sufitu desant spada
I fetorem nozdrza czadzi,
Bo śmierdzącą broń posiada.

Zatem gnieciesz je na twarzy,
Gdyż obrona to jedyna.
Twarz przybiera zaś kolory
Barw wojennych Indianina.

Bój trwa nieraz kilka godzin,
Każdy cimes bowiem woli
Ponieść śmierć na polu chwały
Niż się poddać do niewoli.

Gdy osiągniesz już przewagę,
Likwidując resztki wroga,
Z dumą patrzysz na plac boju,
Chwaląc w duchu pomoc Boga.

Na pościeli w krwawych plamach
Leżą liczne pluskwy trupy.
Nie udało się tym razem
Z krwi człowieka unieść łupy.

Są i ranne. Na wznak leżąc
Przebierają kończynami.
Te dobijasz z epitetem,
Gniotąc między paznokciami.

Cuchnie pościel i ty cały,
Nozdrza drażni zapach mdławy.
Dziś wygrałeś, żeby jutro
Stoczyć z nimi znów bój krwawy.

Wyliczanka

Głodny byłem. Jeść się chciało.
Jadłem wszystko, co się dało.

Jadłem węże i jaszczurki
Jeża też, po zdjęciu skórki.

A ja jadłem, choć czasami,
Kromkę chleba z robakami.

Ja zaś miałem dużo szczęścia,
Piłem mleko niemowlęcia.

Ja gryzałem kości w wodzie
Gotowane na lebiodzie.

Mnie popadła mięsa sztuka,
Gdy brat przyniósł pół borsuka.

A ja z głodu, to nie bajka,

Podbierałem ptakom jajka.

Ja zaś piekłem przy strumyku
Małe rybki na patyku.

Ja zjadałem, choć nieczęsto,
Ze zdechłego konia mięso.

Dusza ludu

Ludu rosyjski, Tyś zawsze pogodny,
Zawsze z bajanem, czy syty czy głodny.
Na śpiew i taniec masz serce otwarte.
Bez bałałajki „bycie” nic nie warte.

Los dał Ci wielu geniuszy Kultury.
Bóg wyposażył kraj w piękno natury.
Ale przez wieki gnębiony przez carów
Jarzmo niewoli dźwigałeś bojarów.

Życia niepewny w epoce Stalina.
Terror przeżyła i Twoja rodzina.
W Twym środowisku też bywali dranie
Kryjąc przed Tobą prześladowcze manie.

Lecz, generalnie podchodząc do sprawy,
Nigdy nie czułem przed ludem obawy.
Czas deportacji przeżywałem z trudem
Ale w symbiozie z syberyjskim ludem.

Będąc zesłany na Sybir wbrew woli,
Lud mnie wspomagał nadzieją w niedoli.
Podczas wywózki syn ludu w mundurze,
Co po raz któryś z uporem powtórzę,

Był dla mojej matki znaczącą osobą,
Gdyż jej doradzał, co ma zabrać z sobą.
Gdyby nie jego praktyczne uwagi,
Mogłoby nie być rodzinnej dziś sagi.

Zaś pielęgniarza na zesłaniu, gdyby
Matkę włączyła w śmiercionośne tryby
Pracy w kopalni (przy jej wadach serca),
To ta decyzja byłaby mordercza.

Matka przeżyła i Sybir przetrwała,
Zaś pielęgniarza smak frontu zaznała.

Pamiętam dobrze i wspominam mile,
Jak łkała w matki ramionach przez chwilę,

Gdy po powrocie, chociaż dzień był brzydki,
Pokazywała na ciele ubytki.
Wojnę przeżyła jedyna w rodzinie,
Choć szturmowała bastiony w Berlinie.

Ja również kilku miałem tam kolegów,
Dążąc wraz z nimi do przyjaźni brzegów.
Oni, nie szkoła, w ten czas dyktatury
Mnie nauczili żyć z darów natury.

Uczyli szczerze, jak w żarach i mrozach,
Można coś uszczknąć w pobliskich kołchozach.
Nie raz wpadali w duże kłopoty
Uczące mnie robić praktyczne przedmioty.

Nikt nie wytykał, że jestem obcy.
Żaden dorosły, a tym bardziej chłopcy.
Owszem, bywały zapasy dla wprawy,
Ale to były osobiste sprawy.

Mam zatem prawo twierdzić, że bez trudu
Wgląd mam do duszy rosyjskiego ludu.
Lud przypomina mi Prometeusza.
Ptak rwąc wątrobę, duszy nie narusza.

Do władz państwowych, rządzących tym ludem,
Stosunek wrogi kryję w sercu z trudem.
Nie zasłużyli potomkowie Rusa,
By opluwana była ludu dusza.

Atropos na akordzie

Kręci się wrzeczono
Pająk sieci wije.
Człowiek
Jest już trupem
Albo jeszcze żyje.
Bije
Głową w sufit.
Nie!
To bele płyną.
Koniec tkania sieci.
On już jest
Padliną.

Tną siekiery drzewa,
Ognisk kilka skwierczy.
Drzewo przywaliło.
Już nie ujdzie śmierci.
Ptactwo w górze skrzeczy.
Płacz żałosny żony.
Wyciągnięty w częściach,
W śniegu zamrożony.

Poszedł w głębię tajgi,
Sidła kłaść
Jak wielu.
Zbłądził,
Zasłabł,
Przysiadł.
Nie był na apelu.
Poszedł rano pościg,
Miał już pewną „ciupę”.
Psy go odnalazły.
Szmat
I kości kupę.

Tyfus,
W dwa miesiące,
Razem sześć lat mieli.
Zabrał troje dzieci.
Więcej mieć nie chcieli.
On
Na froncie poległ.
Ona
Padła z głodu.
Zniknęła odnoga
Szlacheckiego rodu.

Obóz.
Ciąg baraków.
Praca,
Praca,
Praca.
Rano wymarsz w tajgę.
Kilku z niej nie wraca.
Niosą,
Lub nie niosą,
Którym przeżyć dano.
Gdzieś na skraju tajgi
W śniegu pogrzebano.

Strasznie bał się głodu.
Miał kawałek chleba.

Nie chciał z pustym brzuchem
Pukać do bram nieba.
Schował.
Inny widział.
Zasnął przemęczony.
Już się nie obudził.
Został uduszony.

Przędą życia nici
Mojry,
Córy Nocy.
Sybir
Trupem stoi.
Atropos
Krwią broczy.
Pytam,
Ilu jeszcze,
Ziemia
Trupów wchłonie?
Zanim
Tytan w ogniu
Nienawiści spłonie.

Widma o zmroku

Widziałem widma dzisiaj o zmroku.
Zalane krwią z tortur. Zakute w dyby.
Okryte szalem z piany amoku,
W marszu szkieletów do swej sadyby.

Widziałem orła w szponach Stalina
Białego orła. W złotej koronie.
Krwawił krwią przodków, białą-czerwoną,
Za to, że Polskę krył w swoim łonie.

Widziałem tęczę barw narodowych,
Zakotwiczoną hen... w Wisły wodach,
Jak opadała na brzeg Irtyszu
Po nad szpalerem z bagnetów schodach.

Widziałem lance i rogatywki,
Ostrogi, wbite w rumaków boki.
Dusze przywdziane w polskie mundury,
Przenikające obłoków mroki.

Widziałem w orła szponach –Stalina,
Z laurem katyńskich czaszek na głowie.

Szarpał mu z mózgu instynkty zbrodni.
Nie wytrzymałem.
Rzekłem: na zdrowie!

2. POWRÓT

Ślad zesłańca

To już prawie rok po wojnie,
A tu żadnych wiadomości,
Kiedy Stalin mieć przestanie
Honor gości „polskich gości”.

Niepewności czas zbyt długi
Głupie myśli rodzi w głowie.
Zamiast Rzymu wkładu w dzieje
Blizsi stają się Hunowie.

Znając nieco zesłań czasy
Pomyślałem o sposobie,
By zostawić, jak powstańcy,
Długotrwały ślad po sobie.

I na czarnym blacie ławki
Kaligrafią sercu bliską
Wydrapałem scyzorykiem
Swoje imię i nazwisko.

„Pani” jednak nie dojrzała
W tym wyczynie cech artyzmu
I do szkoły mogłem wrócić
Gdy ślad zniknie wandalizmu.

W tym też czasie przyszły wieści
I terminy dosyć ściśle,
Kiedy „bratnich sojuszników”
Prześle Związek Rad” za Wisłę.

Nie chodziłem więc do szkoły
Pewny, że ślad pozostanie.
Lecz niestety, za dni kilka
Matka miała już wezwanie.

Tam dobitnie powiedziano,
Że ostatnia to godzina,
Bym naprawił to com zepsuł,
Bo wyjedzie stąd bez syna.

Załamalem się kompletnie,
Chciałem płakać, lecz zarazem
Przypomniałem sobie Saszę,
Brat którego był stolarzem.

Przy pomocy brata Saszy
Ławki czarny blat sosnowy,
Przy użyciu kleju, farby,
Rano był już tak jak nowy.

Wiem, że matkę zastraszano,
Ale wówczas nic dobrego
Nie mógł człowiek się spodziewać
Od Stalina i sług jego.

I badacze zesłań dziejów
Nie natrafią na me ślady,
Chodź spędziłem 6 lat z górą
Wśród mieszkańców tej osady.

Powrót

I śniegi już topnieją
I kra rzeką spływa
(Od baraku polskiego
W pewnej odległości).
Zaś słońca żar wysusza
Podmokłe pagórki,
Na których my już gramy
W grę zbijania kości.

Kości - to wysuszone
Nóg przeguby trzody,
W szeregu ustawiane
Jak kręgle zużyte.
Zbijane są przegubem
Koni albo wołów,
Dla ciężaru zwiększenia
Ołowiem nabite.

Zbite kości na własność
Trafią do gracza.
Pudło - zmusza dostawiać
Jedną kostkę w rzędzie.
Z radością dzieci w kości
Mogą grać codziennie,
Nosząc kości w kieszeni
I zawsze i wszędzie.

Kości były nie tylko
Przedmiotem zabawy,
To był towar wymienny.
Gdy zaszła potrzeba,
Były rubli lokatą
Dla dobrego gracza.
Gracz słabszy mógł odkupić
Kość za kromkę chleba.

W dzień marcowy na jednym
Z wybranych pagórków,
Kiedy w licznej obsadzie
W kości zbicia gramy,
Z baraków w naszą stronę
Ktoś biegnie i krzyczy.
Do Polski jedziemy!
Do Polski wracamy!

Polska mi się jawi
Krajem nie z tej ziemi.
Była w pewnym okresie
Wydumanym krajem.
Była dla mnie jedynym
Orłów białych gniazdem.
Polska w wizjach mych była
Wręcz biblijnym rajem.

Gdy musiałem z niej wybyć
Byłem dzieckiem małym.
A tu mnie przygarnęła
Pionierów drużyna.
Wtłaczając do mej głowy
Dziennie kilka razy,
Że tu dziećmi jesteśmy
„batiuszki” Stalina.

Roczniki starsze z czasem,
Nie tylko wśród dzieci
Już przewartościowały
Polskich dziejów znaki.
A zwłaszcza, gdy zakwitły
Pod Monte Cassino,
Krwia polską zabarwione
Na czerwono – maki.

Ubyło trochę czasu
Zanim nam wyjaśnił,
Że właśnie nasz delegat
Powrócił z Rajkomu,
Informując zesłańców,
Że już w krótkim czasie,
Mając zgodę Stalina
Wracamy do domu.

Ruszyliśmy gromadnie
W kierunku baraku,
Śpiewając w trakcie marszu
Hymn nasz narodowy.
Czyn nie do pomyślenia.
Bowiem miesiąc temu
Już byłyby karane
Nasze młode głowy.

Na tarasie drewnianym
Polskiego baraku,
Starszy słysząc śpiew dzieci
Również się włączyli.
I rozległ się śpiew gromki
Mknąc na falach rzeki,
Z serc pierzchły wątki strachu,
Z którym dotąd żyli.

Do Polski transport jeszcze
W tym miesiącu ruszył.
Społeczność nas żegnała
Jak się żegna swoich,
Zdarzała się wymiana
Drobnych upominków.
W tym miejscu też się skończył
Zakres wspomnień moich.

Kukielka

Ze mną do klasy chodził Kukolka
Po polsku znaczy kukielka.
Kazachem będąc, często się chwalił,
Że ma polskiego orzelka.

Kilkakroć nawet nam pokazywał
Ten swój talizman bezcenny.
Nawet podobny do naszych orłów.
Ale w szczegółach odmienny.

Mieszkał w kwaterach razem z Ruskimi,
Nie mógł więc być autochtonem.
Mniemam, że ojciec był urzędnikiem,
Mając Rosjankę za żonę.

Był dość wysoki, jak na Kazacha,
Przy tym nad wyraz przekorny.
Lgnął do Polaków jak „chwoś do rzepu”,
Bawiąc się bywał zadziorny.

Obcując z nami prawie dwa lata
Zgłębił języka tajniki.
Mówił po polsku, myślał po polsku,
Przyjął też polskie nawyki.

Toteż, gdy poznał dokładnie datę,
Kiedy wracamy do kraju,
Przestał przychodzić bawić się z nami,
Jak miał dotychczas w zwyczaju.

Przyszedł dopiero tuż przed wyjazdem,
W roli zaiste diabełka.
Kusząc, by zabrać jego do Polski,
Odda nam za to orzelka.

Po akceptacji został przemysłowiec
Upchany między bagaże
I wkrótce ruszył z nami do Polski,
Oglądać złudne miraż.

Lecz już na pierwszym krótkim postoju
Kogoś dopadła chęć zdrady.
Został odkryty zbieg wśród pakunków
I wrócił do swej osady.

Gdzieś po 40 latach być może
Gdy rozważałem wspomnienia,
Spytałem matkę, czy przypomina
Tamte z Kazachem zdarzenia?

Chwila skupienia. A gdy przestała
Przesuwać kulki różańca,
Kiwając głową odpowiedziała
„On był prawnukiem zesłańca”.

Wtedy pojąłem skąd miał orzelka
Nie znając swoich korzeni.
Czemu Ignął do nas, do polskich dzieci?
Czas bowiem genów nie zmienia.

Wyrzuty sumienia

Kumpel mój, Kola, syn naczelnika
Osady zwanej Rietiwa,
Stuprocentowy Rosjanin z duszą,
W myślach mych często przebywa.

Jego rodzinie matka zawdzięcza
Brak w Kazachstanie mogiły,
Z której by resztki jej egzystencji
Tęsknie na zachód patrzyły.

Byliśmy kumple myślą, nie czynem,
Wiecznie skłócenie słowami.
Wciąż obrażeni na siebie wzajem
Wzburzonych uczuć wirami.

Mimo to byłem nim urzeczony,
Ceniąc w nim zwłaszcza prostotę,
Bywało dzielił się ze mną chlebem,
Widząc, że mam nań ochotę.

Nie wiem, czym ja mu imponowałem,
Byłem przeciętnym chłopakiem.
Może to jego wartościowało,
Że się przyjaźni z Polakiem.

W chwili wyjazdu, żegnając Kolę,
Chciałem coś dać „ku pamięci”.
Chciał dostać piórnik, lecz ja nie miałem,
Garnki wszak lepią nie święci.

Więc mu przyrzekłem, gdy tylko dotrę
I się oswoję ze stresem,
Kupię mu w Polsce wspaniały piórnik
I prześlę zaraz ekspresem.

Myśl o tym wpędza mnie w przygnębieni,
Czuję się podle, nie kryję,
Bo obietnicy danego słowa
Nie dotrzymałem, choć żyję.

A przecież mogłem mu wysłać kilka,
I to o różnej budowie,
Bo w ponemieckich pustych już domach
Tego wałało się mrowie.

To, co odczuwam, zwane być może
Przez ateistę - wspomnieniem.
Ja się przychyliam do wierzącego,
Że to wyrzuty sumienia.

Ponieważ nie mam komu się zwierzyć,
Do Ciebie zwracam się, Boże.
Zechciej wysłuchać, daj rozgrzeszenie,
Ale czy to mi pomoże?

Szerokie tory

Czterdzieści wagonów
A może i więcej
Powoli podąża
Za lokomotywą.

W czterdziestu wagonach
A może i więcej
Przewożą zesłańcy
Historię prawdziwą.

Historię przeżycia
Jednostki, rodziny,
Historię przetrwania
W warunkach niebytu.

Historię o śmierci,
Pochówku bez Boga.
Historię realną,
Nie fragmenty z mitu.

Po torach szerokich
Rytmem biją koła,
Jakby zapraszały
Zmarłych tu - do tańca.

Zmarłych przy budowie,
Która pochłonęła
Życie nie jednego
Polskiego zesłańca.

Gdzieś zostają lory
Pełne grubych bali.
Nagością bez kory
Wstydliwych bez mała.

Jakże innych w tajdze,
Kiedy w zwałce, w spławie
Wyzwalały duszę
Z niejednego ciała.

Po torach szerokich
Pędzą do kopalni,
By tworzyć udręki
Nowe podwaliny.

Skąd zabiorą rudę
Węgiel i cierpienie.
Łzami, krwią i potem
Kapiąc między szyny.

Ileż ludzkich nieszczęść,
Jak wiele rozpaczy
Przewiozły pędzące
Po torach wagony.

Zwłaszcza w takich chwilach,
Kiedy się mijały,
Przewożąc zesłańców
W dwie przeciwne strony.

Im bliżej granicy
Tym stuk kół tępieje,
Jakby je przytłaczał
Czas nieszczęść zbyt długi.

Tych, co przejeżdżając
Przez rodzinne strony
Opuszczać je muszą
W życiu po raz drugi.

Granica - choć w innym
Wytyczona miejscu.
Bieg torów szerokich
Przerywa nurt rzeki.

Za mostem już Polska,
Która wracającym
Na resztę dni życia
Udziela opieki.

Widok godła z orłem,
Powitalne mowy,
Z radością i dumą
Przyjmują wygnańcy.

Bo jeszcze nie wiedzą,
Że Polska ich nazwie
Zamiast sybiracy
Wschodni repatrianci.

Minęło pół wieku.
Pamięć już poblakła,
A w torach szerokich
Wymieniono szyny.

Nie wykorzystano
Ogromnych zasobów
Historii w ofierze
Złożonej daniny.

Spotkanie z kościołem

W pewnym mieście, przy granicy,
Gdy wracałam z Kraju Rad,
Dłuższy postój na boczniczy
Miał pociągu mego skład.

Chcąc zapobiec trwałej nudzie
Wyruszyliśmy we dwóch,
Tak jak inni w składzie ludzie,
Na włóczęgę w miejski ruch.

Przypadkowo na tej trasie
Gmach kościoła znalazł się.
Przez przypadek, też w tym czasie,
Tam odprawiał kapłan Mszę.

Jak nie wstąpić do kościoła,
Może w życiu pierwszy raz?
Bo z dzieciństwa, dookoła
Przypominam tylko las.

Wystrój wnętrza piękno kryje,
Wokół świętych figur w bród,
Złoto blaskiem w oczy bije,
Czuć kojący murów chłód.

Ale to nas nie urzekło,
Ni z ambony księdza głos,
Co to niebo, czyściec, piekło,
Lecz skarbonek kilku los.

Większość, wchodząc do świątyni
Z kopiejkami ściska dłoń.
Znak, w skupieniu, Krzyża czyni
I zawartość wrzucę doń.

Brzmi symfonią dźwięk monety,
Gdy wrzucana do nich jest.
Piękny widok dla estety,
Lecz nie dla nas taki gest.

Już pracują nasze głowy,
Przewidując każdy ruch
I już mamy plan gotowy,
Jak skarbonek zmniejszyć brzuch.

Przeto jutro, przy sobocie,
Będzie czynny zamach nań.
By nas tylko w tej robocie
Nie wyprzedził jakiś drań.

Trzeba sprawdzić, czy chłopaki
Wiedzą, gdzie jest jakiś pręt?
A to wszystko dla tabaki,
Żeby mieć na własny skręt.

Jutra jednak już nie było,
Tylko płakać. Co za pech.
Będzie się skarbonkom tyło.
Tak zostawić? Toż to grzech!

W gruzach legły wielkie cele.
Koniec o tabace snów.
Bo donieśli, że w kościele
Myśmy czap nie zdjęli z głów.

Matka wyjścia zakazała.
Pouczała, krzycząc, że
Wstydem płonie za mnie cała.
O mnie też to świadczy źle.

Dobrze, żeś Ty nie wiedziała,
Co zamierzał zrobić syn.
Byś dopiero rozpaczała,
Gdyby spełnił on swój czyn.

Z głowy czapka zaś niezdjęta
To złem zbita tafla szkła,
By uchronić delikwenta
Od gorszego jeszcze zła.

W tym tkwi jednak złego miara,
Że przez wiele, wiele lat
Przygrywała Twoja wiara
Z tym, co wpoił Związek Rad.

I dopiero, gdy zgłębiłem
Filozofów myśli bieg,
To z rozwagą przekroczyłem
Rubikonu wiary brzeg.

Słoneczniki

Na sztuce się nie znam.
Zazdroszczę estecie,
Że spędza z rozkoszą
W muzeum czas długi.
Ja piękno podziwiam
Najczęściej w kobiecie
I to, gdy ją widzę
Bez barw szat papugi.

A w sztuce wzrok cieszy
Renesans, manieryzm,
Dociera realizm
Oraz impresjonizm.
Nie robi wrażenia
Zaś kubizm, futurizm,
A sztukę obrzydza
Martwy abstrakcjonizm.

Zwierzyłem się z tego

Za sprawą van Gogha,
A wchodząc w szczegóły,
Jego słoneczników.
Malując doznawał
Natchnienia od Boga,
A ja w nich szukałem
Odżywczych składników.

W pobliżu osady,
Choć teren był dziki,
Kawałek się znalazł
Pola wśród kamieni.
Rosły na nim liczne
Żółte słoneczniki,
Płotem ogrodzone
Na znacznej przestrzeni.

W czas ich dojrzewania,
Oprócz żerdzi płotu,
Strzegł je dodatkowo
Strażnik z karabinem.
Miał on przez nas sporo
Z ochroną kłopotów,
Bowiem pole było
Naszym magazynem.

Mieliśmy śmigielka
Puszczane ze szpuli,
Które to ścinały
Wybrane okazy.
Wyciągnięte prętem
Jedliśmy i pluli.
Tak je zdobywając
Dziennie kila razy.

Często się zdarzało,
Że nas stróż namierzył
I oddawał strzały,
Będąc w szale złości.
Ale był tak stary,
Że z nas nikt nie wierzył,
Żeby mógł w nas trafić
Z takiej odległości.

Nie wiem, czy miał karę
Za to, że przy płocie
Pas kilkumetrowy
Prawie był wycięty.
Mógł się wytłumaczyć
Z trudu w tej robocie,

Znosząc po nas zdobycz:
Śmigła, szpulki, pręty.

Nadszedł czas odjazdu.
Nie czułem radości.
Pomorze Zachodnie
To koniec podróży.
I tutaj poczułem
Smak pełnej wolności,
Widząc w słoneczniki
Obsiany plac duży.

Nikt go nie pilnował,
Nie był ogrodzony,
Mogłem doń podchodzić
Przy każdej potrzebie,
Bywać dniem i nocą,
Wchodzić z każdej strony.
Nikt mnie nie odganiał,
Czułem się u siebie.

Wtedy też pojąłem:
Orzeł bez korony,
Chociaż oszpecony
Nie jest tu żebrakiem.
Kimże ja tu jestem?
Ten problem złożony
Rozwiązało pole:
Jestem tu Polakiem.

Jeszcze kilka razy
Wątpliwości były
Wśród mych rówieśników
Co do mej polskości.
Lecz przekonywałem
Argumentem siły
I nie podważali
Już wiarygodności.

3. WSPOMNIENIA PO POWROCIE

Stracone suchary

Po latach tułaczki
Wróciłem do kraju.
Na wieś podkarpacką
Z okolic Strzyżowa.
Osiadłem w Grodzisku

Chociaż wsie rodowe
Matki Tułkowice,
Ojca zaś Godowa.

Mieszkać przyszło w chacie
Krytej gontem słomy,
W podzielonej na pół
Przelotową sienią.
Jedna część mieszkalna,
Druga inwentarska.
Te relacje długo
Jeszcze się nie zmieniają.

W chacie mała izba,
Oraz duża kuchnia.
Piec do gotowania
I pieczenia chleba,
Stół, dwie ławy, zydel
I ściągadło butów.
W miejsce zaś podłogi
Udeptana gleba.

Jest stodoła, chlewik,
Budka na potrzeby,
Z inwentarza krowa,
Dwa lub trzy warchlaki,
Koń szczególnej troski
Do „sprzęgania” z innym
I będące wszędzie
Przydomowe ptaki.

Tak umiejscowiony,
Kiedyś przypadkowo
Matkę swą dojrzałem
Obok drzwi chlewika.
Stała i płakała
Patrząc jak z koryta
Karma błyskawicznie
W świńskich ryjach znika.

Zarejestrowany
Fakt ten, w mej pamięci,
Nie wywołało wówczas
Żadnego zdziwienia.
Dopiero po latach
W pełni zrozumiałem,
Jakie przeżywała
Matula cierpienia.

Cofnąć się więc muszę

Do wcześniejszych czasów,
Gdy radziecka władza
Na kanwie miłości,
Na Sybir wywiozła
Dość tłustą rodzinę,
A zwróciła Polsce
Skryte w skórze kości.

Od pewnego czasu
Dochodziły słuchy,
Że nastąpi powrót
Na Ojczyzny łono.
Więc na czas podróży,
Żeby nie paść z głodu,
Każdy skrawek chleba
Z pietyzmem suszoną.

Matka tak jak inni
Wszystko zamieniała
Na bochenek chleba.
Gromadząc zapasy
Głodem przymierała,
Dziecku wydzielał,
Byle mieć rezerwę
Na trudniejsze czasy.

Dochodziły wieści
O zniszczeniu Polski,
Że panuje bieda,
Ludzie giną z głodu,
Miasta wyburzone,
Wioski wypalone.
Wręcz globalny zanik
Polskiego narodu.

Wiozła więc do kraju
Pełen wór sucharów,
W drodze wykupując
Z kartek chleb z przydziału.
Lecz im bliżej granic,
Tym towaru więcej.
Bułek, obwarzanków,
Chleba i nabiału.

Wszystko to bez kartek,
Tak jak przed wywózką.
Może przerwać podróż?
Wrócić na swe śmieci?
Przecież wszelkie prawa
Do własności ziemi

Stale przyrzekają
Rozmowni Sowieci.

Pierwsze wieści z Polski
Były od fryzjera
I to na wiorst kilka
Od brzegu granicy.
Dodawał otuchy,
Rozwiewał zwątpienia,
Mówił, że tam każda
Para rąk się liczy.

Że nie ma kołchozów,
Że będzie reforma,
Że Ziemie Zachodnie,
Że tam mnóstwo pracy,
Że wolne rzemiosło,
Że handel prywatny,
Że będą przyjeżdżać
Zza Buga rodacy.

Chyba nas przekonał,
Gdyż po kilku dobach
Pociąg, gdy przez chwilę
Stał nad nurtem rzeki,
Z wszystkich drzwi wagonów,
Niczym na komendę,
Rzucano do wody
Suszone wypieki.

To była ekstaza,
Rzucano w amoku
Przykłady wyrzeczeń.
Złote głodu złoza.
Worek zaś za workiem
Niosły nurty rzeki,
Pokropione łzami,
Do polskiego morza.

Matka nie rzuciła,
Wiozła dalej z sobą.
Długie lata głodu
Wodzie oddać szkoda.
Teraz zaś w chlewiku
Patrzy, jak suchary
Zżera z dna koryta
Chrzążąca trzoda.

Pewnie przypomina,
Że jeszcze w tym roku

Suchar ten był dla niej
Papierem płatniczym,
Towarem wymiennym,
Ostoją przeżycia.
A dziś rozpuszczony
Jest w pomyjach – niczym.

Na odwyku

Po powrocie matki siostra
Przygarnęła nas pod dach.
Miała męża „z chłopów chłopą”,
Wzbudzał we mnie bunt i strach.

Wizerunek powieściowy,
Jaki hart ma polski chłop
Zniewolony na swych morgach,
Jak powrółem spięty snop.

Jednak mimo ciężkiej pracy
Na swych morgach, w żar i chłód,
Lubił robić też kawały,
Których miał w zanadrzu w bród.

Ja nie znając obyczajów,
Jako we wsi obcy gość,
Byłem głównym dlań odbiorcą
Do robienia mi na złość.

A że lażłem, gdzie nie trzeba,
Robiąc szkody, jak zły duch,
Więc okazji miał bez liku,
By kawały puszczać ruch.

Czasem siadał w cieniu lipy,
Wypuszczając z fajki dym.
Ja siedziałam obok niego,
Drażniąc nos swój dymem tym.

Kiedy jemu wyjawilem,
Że gdy byłem w Kraju Rad,
Papierosy też kurzyłem,
Chociaż miałem osiem lat.

Z uzbieranych przy kopalni
Petów małych kilku sztuk,

Po skręceniu odczuwałem
Bezmiar szczęścia w dymie smug.

Czasem cieśla podczas pracy
Obok siebie „kapciuch” kładł.
Wtedy z nas ktoś w kilka sekund,
Podczas gonitw, tytoń kradł.

Miałem hubkę i krzesiwo,
Do czytania gazet pęd,
Żeby ukraść jej kawałek,
Aby później mieć na skręt.

Gdy wracałem już do Polski,
Prawie że przestałem ćmić,
Bo nie miałem w czasie jazdy
Przed matulą gdzie się skryć.

Po dniach kilku, gdym go spotkał
Przy rąbaniu z klocków drwa,
Rzekł, że będę mógł popalać,
Gdy warunki spełnię dwa.

Mam wystrugać sobie fajkę,
On tabaki już mi da
I ją pierwszy raz napelni.
Ja wypalę zaś do dna.

Że załatwił już z mą matką,
Że nie będzie za to bić,
Jeśli zamiast papierosów
Razem fajkę będziemy ćmić.

Pewnie musiał zauważyć
Przekraczając chaty próg,
Że się zmniejszył pęk „bakonu”
Z suchych liści o pięć sztuk.

Wystrugałem piękną fajkę,
Choć to trwało czasu szmat.
Pokazałem ją wujkowi,
Będąc z siebie bardzo rad.

Zapaliliśmy więc fajki.
Nawet dobrze nam to szło,
Choć w połowie już poczułem.
Że coś robi mi się mydło.

Nastąpiło osłabienie,
Na wymioty jakby brać,

Wystąpiły bóle głowy
I zaczęło w brzuchu grać.

Chciałem przerwać już palenie,
„za stodołę” szybko biec,
Ale honor nie pozwalał
O przzerwaniu słowa rzec.

I tak jeszcze kilka minut
Honor z brzuchem toczył bój.
Brzuch pogańiał na ustronie,
Honor zasię mówił stój!

Koniec był do przewidzenia,
Walkę wygrał jednak brzuch.
Godzin kilka w budce z serem
Przesiedziałem w gronie much.

Tak oduczył mnie chłop polski
Chęci ćmienia na lat sześć.
Zapach dymu mnie przerażał,
Wręcz nie mogłem jego znieść.

Wuj do końca się nie przyznał,
Jaki składnik tytoń krył,
Tylko lekko się uśmiechał
I pykając fajkę ćmił.

Okruchy chleba

Chleba mi okruch spadł na podłogę.
Proszę go podnieść, słyszę babci głos.
Pytam, dlaczego? I zgiętą nogą
Chciałem go kopnąć tam, gdzie stoi kosz.

Lecz mimo woli podniosłem oczy.
W połowie drogi zamarł nogi ruch.
Widzę u babci, jak łza się toczy,
Jedna za drugą po policzkach dwóch,

Okruch podniosłem. Babci podałem.
Niczym opłatek wzięła do ust.
Takiego gestu nie rozumiałem.
Śmieszny ta babcia ma w jedzeniu gust.

Ale po latach, gdym dojrzał nieco,
Spytałem babcię o jej tamten gest.

Bo niepojętą jest dla mnie rzeczą,
W takich okruchach jakaż świętość jest?

Spojrzała na mnie jak na grzesznika,
I gdzieś w przestrzeni swój utkwiała wzrok.
Jakby szukała stron pamiętnika,
W którym spisała każdy z zsyłki rok.

Chleb-rzekła -wtedy był w cenie złota.
Normę stanowił każdy chleba gram.
Czarny zakalec z lepkiego błota
Lub inny wypiek, smak życia miał tam.

Z wodą zbeltany - miał nazwę zupy,
Ssany w kawałku - sam cukier krył.
Drobno kruszony - udawał krupy,
Suszony w kromkach -snem bogactwa był.

Myślą o chlebie żyłam dnie całe.
O chlebie miałam każdej nocy sen.
Duże kawałki, okruszki małe
Chodziły za mną uparcie dzień w dzień.

Zatem się nie dziw, mój młody Panie,
Że czcić go będę, dokąd starczy sił.
Nośnikiem życia dla mnie zostanie
Nie tylko okruch, nawet z niego pył.

Babcia umilkła, w rękach twarz skryła,
A ja pojąłem mając jadła w bród,
Że w Europie jest taka siła,
Dla której w walce orężem jest głód.

Ekspонат

Muzea są dumą każdego narodu
I tego ze wschodu i tego z zachodu.
Bo każde muzeum w swoich zbiorach mieści
Oprócz piękna także patriotyczne treść.

Spotkałem w swym życiu wielu amatorów
Szukania staroci dla blasku, nie zbiorów.
Zaś dla mnie starocie to temat spalony.
Coś jednak się stało? Za sprawą mej żony,

Gdy w posagu ślubnym, do mojego życia
Wniosła oprócz siebie maszynę do szycia.

Według uzyskanych potwierdzeń z przecieku,
To produkt z początku dwudziestego wieku.

Ilekoć korzystam z tej technicznej mocy,
To inna maszyna przesłania mi oczy.
Bez nóżek, bez blatu, o napędzie ręcznym,
Z obitym lakierem i terkotem dźwięcznym.

Moje nastawienie było do niej wrogie.
Słownictwo – odwrotnie, nie było ubogie,
Bo zamiast się bawić z chłopakami fajnie,
Kazano mi korbą kręcić jednostajnie.

Przeżyliśmy razem najtrudniejsze lata,
Za sprawą Stalina, krwiożercy i kata.
Zesłani na Sybir, by zappełnić groby
Jako zapomniane na zawsze osoby.

Po wojnie się skończył popyt na Polaków.
Przekazano Polsce większość Sybiraków.
Ekspонат zostawił azjatyckie szopy
Meldując się w kraju środka Europy.

Mimo że to było w innej części świata,
Dzielnie nam służyła jeszcze przez dwa lata.
Pomimo że była sercu bardzo bliska,
Końcowym efektem był plac złomowiska.

Dzisiaj wspominając przeżyte katusze,
Myślę, że maszyna miała w sobie duszę.
No, bo jak tłumaczyć? Czy w ogóle da się?
Nigdy się nie psuła w tym okrutnym czasie.

Kiedy ojciec czmychnął do Armii Andersa
Była do pomocy mojej mamie pierwsza.
Mama przerabiała innym stare ciuchy,
By nappełnić chlebem nasze puste brzuchy.

Ludzie się imali przeróżnych sposobów,
By nie pozostawić nadmiar polskich grobów.
Po naszym odjeździe jednak na Sybirze
Na dziewięciu grobach stały polskie krzyże.

Przed odjazdem każdy zapalał od siebie
Kaganek pamięci do spotkania w niebie.
Na zawsze zostawiał znajome mu twarze,
Głosząc, że im wzniesie w ojczyźnie ołtarze.

Maszyna być mogła ważnym eksponatem,
Gdybym wówczas nie był tępym małym.

Kryła by historię wiedzy o człowieku,
Jak przetrzymać reżim dwudziestego wieku.

Platerówka

Nie wiem, dlaczego? Ale dziś w nocy
Ciebie widziałem we śnie, jak żywą,
Gdy poskramiając nasze wybryki
Łydki chłopaków cięłaś pokrzywą.

Miałem lat osiem. Ty osiemnaście.
Pociąg do dziewczyn był dla mnie obcy.
O Tobie pisali, żeś urodziwa
I że jak muchy lgną do Cię chłopcy.

Może dlatego Armię Berlinga
Wybrałaś, jako sposób na życie?
I dnia pewnego, wraz z chłopakami
Zaciąg do wojska zrobiłaś skrycie.

W listach pisałaś, że w batalionie
Emilii Plater przeszłaś szkolenie,
W sztuce wojennej z użyciem broni,
W miastach, jak również w pustym terenie.

Dziesięć lat później u Twojej siostry,
Gdy przeglądałem zdjęcia w albumie,
Widziałem ciebie w randze sierżanta,
Przy cekaemie w żołnierskim tłumie.

Były też zdjęcia skryte w kopercie,
Byłem ciekawy, co się w niej kryło?
Do dziś potępiam swoją ciekawość,
To, co ujrzałem, z nóg mnie zważyło.

Młoda dziewczyna, w szpitalnej sali
Przed fotografem gestów unika,
Stoi na szczudłach, na jednej nodze,
Twarz oszpecona w szramy bez liku.

Mimo to jednak Cię rozpoznałem.
Pomogło w tym mi kilka zdjęć innych,
Z uroczystości wręczeń medali
Oraz ze spotkań stricte rodzinnych.

Nie bez powodu pierś Twoją zdobi
Kilka medali oraz orderów,

Chociaż straciłaś własny batalion
Adorujących Cię kawalerów.

Więc Sybiraczko i Platerówko,
W jednej podwójnie skryta osobie.
Nie mów, że będąc w obecnym stanie,
Lepiej by było spędzać czas w grobie.

Nie wmawiaj sobie w chwilach goryczy,
Że to jest również i Twoja wina,
Że wyzwalając świat od Hitlera
Polskę oddałaś w ręce Stalina.

Kraj nasz i Naród wszak Was docenia,
Zawsze będziecie na piedestale,
Nawet, gdy wszystkim odejść Bóg każe,
Na kartach dziejów będziecie stale.

Poprzez szacunek dla Twej osoby,
Hołd składam wszystkim Paniom pod bronią.
Bez względu na to, co was otacza,
Dalej pachniecie młodości wonią.

Gloryfikacja Stalina

On miał różaniec. Ona książeczkę.
W jednym mieszkali baraku.
Żona mu zmarła w trakcie transportu,
Męża Bóg zabrał z tartaku.

On miał chłopczyka, Ona dziewczynkę.
Żyli jak jedna rodzina.
Świadczyli sobie drobne przysługi
I przeklinali Stalina.

Modląc się często z udziałem dzieci,
Czy to „z wieczora czy z rana”,
Prosimy Boga o uwolnienie
Ludzi od tego tyrana.

Kiedy po latach, będąc już w kraju,
Wspólnie spędzając festyny,
Nie dopuszczali myśli, że mogą
Własne założyć rodziny.

Wkrótce się urwał kontakt wzajemny,
Ale nie urwał się temat.

Przy pewnym zbiegu okoliczności
Powstał znienacka dylemat.

W ósmą rocznicę śmierci Stalina,
W prowincjonalnym kościele,
Młodzi złożyli sobie przysięgę
I się odbyło wesele.

W trakcie Mszy Świętej świadek oniemiał,
Widząc u drużny książeczkę.
Poznał okładkę z Świętą Teresą
Oraz zakładki wstążeczkę.

Więc na weselu porwał w tan drużną
I kończąc pierwszy z nią taniec
Niby niechący, razem z chusteczką
Wypadł z kieszeni różaniec.

Ona podniosła i tak jak Niobe
Stała niczym słup soli.
I już wiedzieli bez słów wyjaśnień,
Że byli razem w niewoli.

W trakcie rozmowy wyznali sobie,
Będąc wciąż bardzo przejęci,
Że te symbole Bożej pomocy
Mają wzmóc wolę pamięci.

Dwa lata później byli świadkowie,
Czując miłości cierń w sercu,
W innym kościele, przy innych świadkach,
Stali na ślubnym kobiercu.

I znowu mogli, już w większym gronie,
Przejścia Sybiru utrwać.
I co wzbudzało powszechny niesmak,
Józka Stalina wychwalać.

Że wprowadzie późno, ale w rocznicę
Otwarcia przed nim bram piekła,
Stworzył dla innych platformę szczęścia,
Która się jego wyrzekła.

Że się spotkali w rocznicę śmierci
Tego potwora w orkusie,
Może zwiastować, że dalsze życie
Spędzą w wolności luksusie.

Miedziana obrączka

Mila działała w Solidarności.
Adam pracował w ubeckim klanie.
Długo namierzał. Lecz dopiął swego,
Wzywając Milę na przesłuchanie.

Kazał wyłożyć rzeczy z torebki
I mówić prawdę „jak na spowiedzi”.
Sortując rzeczy na biurka blacie
Spostrzegł obrączkę wykutą z miedzi.

Krew mu zastygła, milczał przez chwilę
I nie wiadomo z jakiej przyczyny
Kazał jej zebrać wartość torebki
Mówiąc, że może iść do rodziny.

Zamknął od wewnątrz pokój przesłuchań,
Przejrzał raz jeszcze z teczek jej dane,
A myśl wróciła do czasów przeszłych,
Kiedy wyrabiał kółka miedziane.

Jako Sybirak spod Krasnojarska,
Kiedy Sikorski wymógł amnestię,
Ruszył z rodziną w cieplejsze strony,
Żeby rozwiązać przeżycia kwestię.

Przeto osiedli w Uzbekistanie.
Tam było rodzin polskich już kilka.
Adam miał wówczas lat jedenaście,
I tyleż wiosen miała Emilka.

Po kilku latach wspólnie spędzonych,
Z której by dzisiaj nie patrzeć strony,
Tuż przed powrotem na Polski łono
W serca ich miłość wbiła swe szpony.

Termin wyjazdu został podany.
On wyrobione miał już papiery.
Zaś jej rodzinie władza radziecka
Jeszcze stawiała przeszkód bariery.

Wtedy to Adam wykuł z kopiejek
Dwie jednakowej miary obrączki.
Jedną założył sobie na palec,
Drugą na palec jej wątlej rączki.

I przy ognisku na szczycie wzgórza
Już konsumując resztki koniny,
Przyrzekli sobie dożgonną miłość.
Tak się odbyły ich zaręczyny.

Adam wyjechał, Mila została,
A to groziło więzi zerwaniem.
Stąd to zdziwienie na przesłuchaniu
I strach paniczny przed rozpoznaniem.

Szybko się przeniósł na inny teren,
Żeby go Mila nie była w stanie
Ponownie spotkać. A skoro trzyma
Jego obrączkę, niech tak zostanie.

On swą obrączkę, jako talizman,
Trzymał ukrytą w zdobnej kasetce.
Czasami wyjął i powspominał,
Zwłaszcza, gdy bywał po którejś setce.

Kilka lat z rzędu prosiłem jego,
By udostępnił swoje wspomnienia.
Zawsze mnie zbywał, że jeszcze nie czas
Na „przewietrzenie” jego sumienia.

Krótko przed śmiercią, sam myśl podrzucił,
Że mi opisz chwilę po chwili
Ciąg sybiracki swojego bytu
Razem z Emilią i bez Emilii.

Sny platoniczne miewał przez lata.
Mila dlań była bóstwem z ikony.
Widział ją w bieli, z naręczem kwiatów.
Widział kapłana i słyszał dzwony.

Więc czemu uciekł przed swą ikoną,
Nieobcym będąc dla niej człowiekiem?
Wyznał, że bał się, że pozostanie
Dla niej na zawsze - tylko „ubekiem”.

4. REFLEKSJE Z SYBERII

Niepewność

Czy Sybirak to Sybirak?
W rozpoznaniach już się gubię.
Kogo nazwać Sybirakiem?
Kogo poddać czasu próbie?

Gdy przeglądam rys historii
W podręcznikach mej młodości,
Czuję gorycz, złość i niesmak
Do przekłamań i podłości.

Jak historyk śmiał dowodzić
(Czy nie dręczy go sumienie),
Że wywózka na Syberię
To „ochronne” przesiedlenie.

Czy historyk z tytułami
Naukowym nie jest zerem,
Jeśli wnosi, że to Stalin
Nas ratował przed Hitlerem.

W czasie naszej „przeprowadzki”,
O czym twierdzić się ośmielę,
Stalin, Hitler jeszcze byli
Ideowi przyjaciele.

O zawodzie reporterów
Często miewam podłe zdanie,
Że w zawodzie tym pracują
Do potęgi entej dranie.

Czy Sybirak to Sybirak?
Jeśli piszą dziennikarze,
Że w transporcie zza Irtyszu
Repatriantów widzą twarze.

„Polska wita repatriantów”
Planszę trzyma młodzież dziarska.
Na wagonie zaś transparent
„Sybiracy z Krasnojarska”.

Jedno zdjęcie, jeden podpis,
Lecz dwa różne transparenty.
Czy reporter to przeoczył?
Czy był po to wynajęty,

By utrwalić w społeczeństwie
I uchronić od pomyłki,
Że Sybirak to repatriant
I nie było żadnej z zsyłki.

Czy Sybirak to Sybirak?
Jeśli często był zmuszany,
Przez personel służb kadrowych
W życiorysie czynić zmiany.

Tym z Sybiru i „zza Buga”
Wspólny dano zaś scenariusz.
Mają mądrze dobrać słowa
Wypełniając kwestionariusz.

Miejscowości zamieszkania,
Województwo, powiat, gmina,
Można wpisać takie, jakie
Na nasz język chlapnie ślina.

Wystarczyło miejsce poczyć,
Więcej nie chciał urząd świecki,
Należało jednak wpisać,
Że tam związek był Radziecki.

Czy Sybirak to Sybirak?
Czy historia tonie w kłamstwie?
Czy są siły chętne prawdę
Poznać w wolnym Polskim Państwie?

Czemu w czasie transformacji
(Muszę zadać to pytanie)
O Sybirze w podręcznikach
Było tylko jedno zdanie?

Nie wspomniano w podręcznikach
Zatwierdzonych przez Oświatę
O Sybirze lat czterdziestych.
A jedynie z Powstań datę.

Faktem jest, że szkoły chętnie
Oddawały nam swoje lekcje,
By wzbogacić o Sybirze
Wiedzę uczniów przez prelekcje.

Na spotkaniu jednym z pierwszych
Smak poczułem pikanterii,
Gdy spytałem, z czym kojarzą
Słowa Sybir lub Syberii?

Z nóg zwała mnie odpowiedź,
Porażony byłem zwrotem,
Słyszac słowa, że kojarzą
Z syberyjskim „białym” kotem.

Dziś, w mnogości różnych wydań
Podręczników do historii,
Można dotknąć rant Sybiru
Z dozą prawdy, choć w teorii.

Czy Sybirak to Sybirak?
Jeśli błądzi od poczęcia
Na obrzeżach Sejmu ustaw,
Pewnie aż do wyginięcia.

Populacja Sybiraków,
Których marazm losu śledzę,
Kładzie w grobie, tuż przy sobie,
Zbędną posłom o nas wiedzę.

Ja już nawet leżąc w grobie,
Jeśli tylko będę w stanie,
Czy Sybirak to Sybirak?
Zadam Polsce to pytanie!

Powrót do kraju

Deportowany - modne dziś słowo.
Nie wywieziony, ani zesłany,
Ale z łaciny – deportowany.
Brzmi to wytwornie i zagadkowo.

A więc przybyłem wprost z deportacji
Na jedenaste swe urodziny
Na podkarpacką wieś - do rodziny.
Wieś „zacofaną, bo po sanacji”.

Ja prawie szkielet, atrapa żywa
Kości wyjętych prosto z grobowca,
Stałem się tutaj typem światowca.
Który „ze świata” na wieś przybywa.

Wzbudzałem podziw zamiast litości,
Żem tyle świata zwiedził za młodu,
A żem przymierał czasami z głodu?
Tu zachodziła też bieda w gości.

Lecz znałem pola długie jak stepy,
Do ich uprawy maszyny liczne,
Tutaj spotkałem „morgi” dziedziczne,
Sierpy, kieraty, kosy i cepy.

Pociąg widzieli tylko z daleka.
Ja nim jechałem tam i z powrotem.
Tu był transportem koń zlany potem
I niezawodne nogi człowieka.

Światło dawała lampa naftowa
I też miewała swoje przednówki.
A ja już znałem światło żarówki
Które „robiła” maszyna parowa.

Wkrótce żem zasiedlił Ziemię Zachodnie.
Tutaj ja byłem o 100 lat w tyle.
Widząc postępu nowinek tyle,
Żem miał oczopląs mówiąc łagodnie.

Wieś odwiedziłem po kilku latach.
Z chałup zniknęły słomiane strzechy.
Wokół plac budów; cegły i dechy.
Nowe maszyny. Prąd w wiejskich chatach.

Dziś liberalizm prawy czy lewy,
Boom bezrobocia, partyjny spory
Znów wieś spychają na boczne tory,
Dając jej z Unii ziarno lub plewy.

Zbieżność dat

Prolog

Na Wileńszczyźnie w latach trzydziestych
Małżeństwu z dzieckiem żyło się miło.
Zanim za sprawą „Kata Narodów”
Nie odebrano im szczęścia siłą.

A było to tak. Był rok czterdziesty.
Luty ciął mrozem. Jeszcze przed brzaskiem
Dwóch mundurowych i cywil z gminy
Wpadło do domu z krzykiem i wrzaskiem.

Ojciec pod ścianą, broń wymierzona,
Matka w toboły wypełnia sanie,
A cywil czyta o przeprowadzce.
Świat jeszcze nie wie, że to zesłanie.

Przejazd na stację i do wagonów,
Mocno cuchnących bydlęcym smrodem.
Jazda przez miesiąc w brudzie i z wszami,
Bez pożegnania z własnym narodem.

Dwa lata później. Były gajowy,
Już jako górnik z kopalni złota,
Z wojskiem Andersa trwale umyka
Spod panowania sierpa i młota.

Monte Cassino. Dwukrotnie ranny.
Po rozwiązaniu Armii Andersa,
W czterdziestym siódmym wraca do kraju.
Jest to historii *odslona pierwsza*.

Historia

I było też tak. Czterdziesty ósmy
I miesiąc luty. Na Odzyskanych
Ziemiach Zachodnich, dwóch mundurowych
W drzwi waląc kolbą budzi zaspanych.

Długa rewizja. Ojciec pod ścianą.
Matka przytula syna do siebie.
Zakaz rozmowy. Matka w modlitwie
Szuka ratunku u Boga w niebie.

Koniec rewizji. Wyprowadzenie
Ojca w kajdankach. Bez pożegnania.
Syn łyż ociera, Matka w rozpacz
Pyta o miejsce jego zasłania?

Po sześciu dobach wraca do domu.
Szpiegiem nie został „Churchilla sługa”.
Uniknął tortur w uzbeckim stylu
I to historii *odslona druga*.

Epilog

Mimo że ojciec żył jeszcze długo,
Nie mógł się znaleźć w rzeczywistości.
Pytał, dlaczego wrócił do kraju
O zakłamanej niepodległości?

Odpowiedź prosta: po prostu wiedział,
Że musi chronić przed złym atakiem
Bliską rodzinę.
Po drugie sądził,
Że Polak w Polsce będzie Polakiem.

Komu to potrzebne

I komu to potrzebne?
Nachodzą mnie zwątpienia,
Zbierając Sybiraków
Poblakłe już wspomnienia.

Wspomnienia spod bieguna

I z kraju za Uralem.
Wysłuchanych w głos Kaukazu
Gdy brzmi Alejkum Salam.

Wyrwanych z korzeniami,
Rzuconych w kraj nieznany
Jak ochłap mięsa bestii,
By żarła "polskie pany"

I żarła, gdzieś w Workucie
I Komi i Kamczatce,
Zżerając dzieciom matkę
I dzieci ojcu, matce.

Zżerając wiarę w Boga
I losu zmian nadzieję,
Ryglując po wsze czasy
Wolności słów mierzeje.

Więc komu to potrzebne?
Nie znajdują statystycy
Tu liczb do przetwarzania
Potrzebnych na mównicy.

Historycy się zajmą
Wydarzeń tłem, nie losem
Milionów drobnych istnień
Nie skrytych w szal z patosem.

Wytrawni literaci,
By wzmocnić treść fabuły,
W bezbarwny pas tkaniny
Zmieniają święte stuły.

Szukając heroizmu
Lub ciągu pasm przygody
U ludzi z polan leśnych,
Warsztatów i zagrody.

Nie będą więc przydatne
Wspomnienia z głębią wrażeń,
W ramionach strachu, trwogi,
W mozaice drobnych zdarzeń.

Socjolog, politolog,
Psycholog, anarchista,
Syjonista, demokrata,
Rasista, komunista,

Nie znajdzie materiału
Poparcia swych teorii,
Pro patria, pro memoria,
By snuć się w micie glorii.

Te treści może pojąć
Podobny mi hybryda.
Więc komu to potrzebne,
Więc komu to się przyda?

Sybirackie refleksje

Sybirackie refleksje
Zroszone krwią i łzami,
Gnane wiatrem pustyni
Nad południa stepami.
Wygrzebane spod śniegu,
Ukryte w ciętym drzewie.
Liczone dniem przeżytym
W pomruku tajgi gniewie.

Sybirackie refleksje
Spływają w strugach deszczu,
Kończą w kwiatów płatkach.
Powstają w liści dreszczu.
Przychodzą nieproszone,
Uparcie w myślach krążą.
Odchodzą czasem szybko,
Lub błędząc temat drążą.

Sybirackie refleksje
Patyną kryte spiże,
Pisane piórem orła,
Golgoty znacząc krzyże.
Myśli własne i cudze
Zawieszone w przestrzeni,
Zasilane w moc trwania
Sokami drzew korzeni.

Sybirackie refleksje
Zatrute jadem czasu,
Zastygłe niczym lawa
W zapachu mdłego kwasu.
Przywykłe do czuwania
Wzdłuż granic w dobrym złego.
Ścigane w obcym kraju
Lotem orła białego.

Sybirackie refleksje

Ciągła walka z engramem,
Kuszenie każdej mojry
Z przydziału chleba gramem.
Pląsy dynamiczne
Lub w marazmie myśli trwanie.
Tłumienie w sobie wspomnień
By nie wpaść w monomanię.

Roztropność

Dziś, gdy rozważam mój żywot dziecka,
Coś mnie uwiera, sam nie wiem, co?
Czyżby ówczesna władza radziecka
Zmieniła we mnie dobro i zło.

Kiedy myśl wraca do dni z przed laty,
Fakty się gubią i ja to wiem.
Łączę je zaraz albo na raty
Myśląc - są prawdą czy tylko snem?

Jak ja wypadną w innych ocenie?
Cóżem ja czynił? Rozważam dziś.
Czy to są fakty, czy ich sumienie,
Czy to realia, czy to mój fiś?

Byłem zesłany do Kazachstanu.
Zesłańcem byłem przez siedem lat.
Jaki mój obraz płynie z ekranu?
Tkany na miarę, czy szyty z łąt?

Dlaczego w domu dzień się zaczyna
Wspólną modlitwą i kończy też.
Natomiast w szkole imię Stalina
Już ponad Boga wynosić chcesz.

Czemu z mej piersi w barwie czerwieni
Pięcioramienna gwiazda śle blask?
Czemu orzelka trzymam w kieszeni,
Czyżby nie dorósł do moich łask?

Miałem kolegów spośród rodaków
Zaś na uboczu był Ruski szczep,
Był jednak taki z ruskich chłopaków,
Który oddawał mi własny chleb.

Chciałem swą matkę zadenuncjować,
Bo ze Stalina zaczęła kpić,
A „Piłsudskiego” musiałem schować,
Bowiem rewizja mogłaby być.

Czy to normalne. Niech mi ktoś powie?
Żeby Kazachów niektórych łąć
Tylko dlatego, że inny Kazach
Nie może sobie sam rady dać.

A to dlatego, że w ruskiej klasie
Zamiast kazachskiej nauki brał
Myśląc, że może i jemu da się
W dalszej przyszłości uciec spod skał.

Podczas powrotu byłem w kościele.
Czułem, jak Święty przenika Duch.
A jednak czasu straciłem wiele,
Myśląc, jak rozpruć skarbonkom brzuch.

Jak to pojmować? A pojąć trzeba,
Że się włożyło na skalny strom
W ramach zakładu o kromkę chleba,
By choć kawałek dać potem psom.

Mimo że dawne to były lata
A jednak dręczy mnie dawny czas,
Że z dualizmu mego przyczyny
Mógł ktoś wypuszczać ogary w las.

Afirmacja życiorysu

Mój zacny kolega
Czasu szkolnej ławy,
Z którym chciałem ruszyć
„Bryłę z posad świata”,
Osiadł na finansach,
Choć parł do Buławy,
A z którym nie miałem
Kontaktów przez lata.

Na pierwszym spotkaniu
Po przerwie w kontaktach,
Buszując pamięcią
Po wspomnień krainie,
Postawił mi zarzut,
Że nie ma w mych „aktach”,
Iż byłem wpłątany

W Sybiru machinę.

I miał słuszną rację.
Bo to było w czasach,
Gdy brat nawet nie znał
Życiorysu brata,
Gdy jeszcze szukano
Niepokornych w lasach,
Gdy **bat** nie wystarczał,
To w sukurs szła **krata**.

W szkole podstawowej
Wkrótce po powrocie,
Na lekcji historii
Miałem w słowach dziecka,
W klasie opowiedzieć
O sierpnie i młocie.
I jaka troskliwa
Jest władza radziecka.

Niewiele zdążyłem
Powiedzieć o sobie,
Gdy pan kazał skończyć
Rozwijany temat
O głodzie, chorobach
I bliskim mi grobie.
Inny chciał usłyszeć
Tamtych czasów schemat.

Zaprosił więc matkę
Na spotkanie w szkole,
By jemu pomogła
Edukować syna.
Bo, gdy to, co mówię
Wychwycą kontrolę,
Może mieć kłopoty
Najbliższa rodzina.

Takie były czasy.

Gdy kilka lat później
Pisałem życiorys,
Idąc do liceum,
Chociaż w polityce
Było nieco luźniej,
Znowu mnie dopadło
Traumy apogeum.

Pisząc swój życiorys
Pierwszy i jedyny

Czując, że mnie wspiera
Dawnych Polan plemię,
Opisałem dane
Swoje i rodziny
I że nas zesłano
Na Sybiru ziemie.

Ledwo przekroczyłem
Średniej szkoły progi,
Miałem już wezwanie
Do jej dyrektora.
Spytał mnie: dlaczego
Mam stosunek wrogi
Do radzieckiej władzy?
Gdzie moja pokora?

I że mój życiorys
Wręcz zabrania jemu
Przyjąć mnie do szkoły.
Chyba, że go zmienię?
Pomógł mi poprawić.
Ale pytam, czemu
Usta przeczą temu,
Co chce czuć sumienie?

Życiorys zmieniony
Nie zmienił mi życia,
Jedynie wyznaczył
Bezpieczne granice,
Stwierdzając, że nie mam
Już nic do ukrycia.
Stanowił dla dalszych
Dopisków matrycę.

Więc uzupełniałem
W nazwy szkół, miejsc pracy,
Adres i narodzin
Moich dzieci – daty.
To uspokajało
Kadrowych działaczy
I mogłem bez przeszkód
Zajmować etaty.

Dzisiaj mój życiorys
Jest już emerytem.
W szufladzie schowany
Na wszelki wypadek.
Dziś by się nie cieszył
Znaczącym popytem.
Ja też nie mam komu

Zrobić z niego spadek.

Kombatant

Niekiedy, różne myśli,
Gdy się budzę w nocy,
Próbują plątać sprawy
O często spornej mocy.

Stwierdzając poprzez dogmat
Z doktryny całkiem nowej,
Że udział mam waleczny
W drugiej wojnie światowej.

Gdy Hitler miał już Moskwę
W zasięgu swego wzroku,
Kazano mi alarmem
Zaciemniać dom po zmroku.

Musiałem wraz z innymi
Strzec tego polecenia,
Inaczej by groziło
Aż kilka dni więzienia.

Ponieważ przebywałem
We wschodnim Kazachstanie,
Naloty przeprowadzać
Tu Hitler nie był w stanie.

Lecz w pewnym tam okresie,
Już dobrze przez nas znane
Alarmu dźwięki słały
Głośniki kopalniane.

Chodziły więc komisje,
Bywało po północy,
Sprawdzając dom po domu,
Czy okna ciemne w nocy.

Że brałam udział w wojnie,
Niech świadczy przeszkolenie.
Szkolącym był frontowiec
Surowy w swojej ocenie.

Wojenny inwalida,
Prowadząc musztrę z nami,

Rozebrać swój karabin
Pozwalał nam czasami.

Och! Jak ja zazdrościłem
Chłopakom starszym nieco,
Że z broni ich pociski
Do celu w tarczy lecą.

Nas uczył, jak używać
Gaz- maski, choć nie nowe,
I jak przed odłamkami
Bezpiecznie chronić głowę.

Ja razem z chłopakami
Nosilał często miny
I kładłem pod atrapę
Ukrytej gdzieś maszyny.

Bywały marsze długie
I bardzo szybkie biegi,
Z sankami marsze zimą
Przez wietrzne w górach śniegi.

Uczono nas z ciężarem
Czołgając się po śniegu
Lub piasku licznych wydmach
Podrywać się do biegu.

To była pierwsza faza
W ćwiczeniach do obrony,
Za które wraz z wszystkimi
Zostałem odznaczony.

Odznakę otrzymaną
Przejrzałam z każdej strony,
Że jestem -już „Gotowy
Do Trudu i Obrony” (GTO)

Odbyłem program szkoleń
Stosowny w moim wieku,
Jak rany opatrywać,
Gdy jestem przy człowieku.

Więc mogę dla doktryny
Ja pewnym być gwarantem,
Że jestem pełnoprawnym
Wojskowym kombatantem.

W urzędzie kombatanckim
Zamierzam prośbę złożyć,

By zechciał Sejm ustawą
Ten wniosek w życie wdrożyć.

Co z tego, że nikogo
Nie mogłem zabić w boju?
Będę walczył o swoje,
Już w warunkach pokoju.

Duchy Przeszłości

Czego się boisz Panie Tubiega,
Że znów zakują Ciebie w kajdany?
I że wywiozą bez pożegnania
W kraj, który dobrze jest Ci już znany.

Czemu się boisz Panie Tubiega
Opublikować swoje wspomnienia?
Myślisz, że mogą stać się podstawą,
Aby Cię wsadzić znów do więzienia.

Czemu, gdy mówisz, Panie Tubiega,
Taka rozważna jest Twoja mowa?
Czyżbyś się bał, by przeciwko Tobie
Nie były wzięte użyte słowa?

Czemu, gdy widzisz kolor munduru,
Natychmiast ciarki drażnią Twe ciało?
To nie KGB nie NKWD.
Skąd tyle strachu w Tobie zostało?

Musiałeś cierpieć drogi Zesłańcu,
Musiałeś znosić srogie katusze,
Kiedy dziś jeszcze, po tylu latach,
Nie masz odtrutki na chorą duszę.

Jak zastraszany byłeś codziennie,
Żeby na fakty być niemy, głuchy,
Skoro za tobą dziś jeszcze chodzą
Nieokiełznane przyszłości duchy.

Panie Tubiega, jeńcu Sybiru,
Przestań czuć ciągłą potrzebę strachu.
Wszystkie straszydła tamtego czasu
Leżą głęboko pod warstwą piachu.

Czuj się jak wolny, Panie Tubiega,
Jesteś u swoich. Jesteś u siebie.

Spójrz na tych młodych, w kręgu rodziny.
Obronią Ciebie w każdej potrzebie.

Lecz nie pozbawiaj wiedzy o sobie
Tych, co chcą zgłębić dziejów arkana.
Otwórz się dla nich. Bądź przyjacielem.
Panie Tubiega, ja proszę Pana.

Rozważania hipotetyczne

Historia o tym nie wie,
Że ja mam dylemat.
Czy wolno mi się wgłębiać
W niesprawdzalny temat?

W czterdziestym bowiem roku
O godzinie wczesnej
Zostałem wraz z rodziną
Wyrwany z głuszy leśnej.

Mój ojciec był gajowym
W oszmiańskim powiecie,
Realia znał na tyle,
Co „stało” w gazecie.

Aktywność polityczna
W okolicy zera.
Nie widział także siebie
W roli bohatera.

A jednak wraz z rodziną
Zaliczył zesłanie,
Pracę w kopalni złota,
Pobyty w Kazachstanie.

Szlak bojowy Andersa
I Monte Cassino.
Powrót do ojczyzny,
Spotkanie z rodziną.

Te fakty miały miejsce
I tworzą historię.
A gdyby zmienić fakty
I przyjąć teorię

Innego scenariusza.
Początek wydarzeń.
Założmy, że się spełnia
Cel rodzinnych marzeń.

Historia daje fakty,
Że w czas okupacji
Zaborcy obudzili
Niechęć różnych nacji.

Powstaje partyzantka
Różnego odcienia.
A lasy są odskocznią
I miejscem schronienia.

Czy w takiej sytuacji
Na służbie gajowy
Może być neutralny?
Nie nadstawiać głowy?

Jest rzeczą oczywistą,
Że będąc Polakiem,
Swe losy wiąże z ruchem
Pod AK-owskim znakiem.

I nie ma możliwości
By na tym etapie
Przeczekać okres wojny
Siedząc w leśnej chacie.

Może więc zginąć w walce,
Może być rozstrzelany,
Może siedzieć w więzieniu
Lub być zakatowany.

A może nie przeżywać
Tych momentów grozy.
Może być w agresorów
Zesłany obozy.

Obozy może przeżyć,
Lecz czy będzie w stanie
Wieść ludzkie życie nadal?
To pierwsze pytanie.

Pytanie jest też drugie,
Choć hipotetyczne,
Co było zatem lepsze?
Co bardziej tragiczne?

Czy zesłanie na Sybir?
Czy trwanie w Gajówce,
Gdzie obfitsze żniwa
Miały śmierci hufce.

Pomijam patriotyczny
Tych wydarzeń wątek,
Jaki mógłby być koniec,
zmieniając początek?

Czy Stalin wbrew logice
I wbrew własnej woli
Nie zagrał wobec ojca
Nie katowskiej roli?

A ja? Wówczas jednak.
Dzieci rozpieszczone.
Co miałbym dzisiaj robić?
Czyją trzymać stronę?

Przepraszam cię Historio,
Że w twoje annały
Ja, dyletant, wprowadzam
Gdybania rozdziały.

Prelegent PRL

W Polsce Ludowej, lat sześćdziesiątych,
Pod zaufanych członków nadzorem,
Bym nie wypaczył jedynej linii,
Bywałem czasem w partii- lektorem.

Zdarzał się temat o propagandzie.
Wówczas chwaliłem radzieckie wzory,
Przy których Goebbels to mały szczeniak
Propagandysty tworząc pozory.

Związek Radziecki, ten miał aparat
Do propagandy. Tam małe dziecko
Już zaczynało swoją współpracę
Z Socjalistyczną Władzą Radziecką.

Dawałem przykład z mego dzieciństwa,
Gdym sześć lat gościł w kraju Stalina.
To on był dla mnie ojcem i matką,
A nie najbliższa moja rodzina.

Bo, przeczytawszy szkolną lekturę,
Wręcz urzeczony jego czynami,
Chwaliłem matce Jego zasługi.
Jako stratega, w wojnie z Finami.

Matka zaś zdania była innego
I kpić zaczęła z mego Herosa.
Tego już dla mnie było za wiele
Postanowiłem utrzyć jej nosa.

Rano, przed szkołą, ruszyłem w teren,
Żeby odszukać i oczywiście
Swe oburzenie na kpiny matki
Donieść naszemu NKW-dziście.

Że uniknęła matka więzienia,
A ja wysłania do domu dziecka,
Zawdzięczam temu, że do „Rejkomu”
Wezwała jego władza radziecka.

Po tym przykładzie był moment ciszy.
Jaki był osąd zawarty w czynie?
Czy zrozumieli moje przesłanie?
Czy pomyśleli: ty s.....synie!

Efekt był taki, że ktoś zrozumiał,
Że tym przykładem przeginam pałę
I w krótkim czasie, z tego tematu,
Ja prelegentem być już przestałem.

A ja przysięgam, mówiłem prawdę,
Że mogłem zostać denuncjatorem.
Czemu nie wierzą, że właśnie jestem
Dla propagandy radzieckiej wzorem?

Nad grobem Matki

Mateczko kochana,
Stojąc nad twym grobem,
Zdałem sobie sprawę,
Jakim jestem snobem.

Dzisiaj mi się jawi
Obraz Twojej doli,
Z naszej egzystencji,
Żyjąc w półniewoli.

Kiedy Ty, kobieta
Mizernej postury,
Wątła, schorowana,
Gnałaś między góry.

Wykasząc dla kóz
Polany i łąki,
Lub z kołchozu niosąc
Na plecach wór mąki.

Widzę, jak na zboczach
Zbierając gałązki,
Schodziłaś ugięta
Pod ciężarem wiązki.

Jak deptałaś boso
W formach kóz odchody,
Jak rąbałaś sama
Często, grube kłody.

Wiem, jakie w twym sercu
Ból otworzył rany,
Kiedy mąż Twój został
Zmobilizowany.

Wiem, że były chwile,
Gdy Ci głód doskwierał,
Znam ból Twego serca,
Gdy Ci syn umierał.

Sama, w obcym kraju,
Bez wsparcia rodziny,
Wkręcona w radzieckiej
Tryby zła, maszyny.

Z dzieckiem, co wymaga
Stałego karania,
Bo sprostać nie może
Normom wychowania.

Podziwiam Cię szczerze,
Bez cienia obłudy,
Twój hart, siłę ducha,
Że zniosłaś te trudy.

Nic Ci dziś nie dadzą
Moje przeprosiny,
Za głupie wybryki,
Za szczeniackie czyny.

Wiem jedno, że dzisiaj
Nie mam już zagadki
W czczonych przez poetów
Słowach „serce matki”.

Kobiety polskie

Kobiety polskie, matki i żony,
Branki Sybiru przeszło lat sześć.
Przyszłych pokoleń święte ikony.
Biję pokłony na Waszą cześć.

Kobiety polskie, duma narodu,
Mogące życie w niebycie wieść,
Byle uchronić bliskich od głodu.
W hołdzie oddaję po stokroć cześć.

Kobiety polskie, wybranki Boga,
To wam zawdzięcza ojciec, mąż, teść,
Że mógł wytrzymać tortury wroga,
By w imię Boga Wam oddać cześć.

Kobiety polskie sprawiły, iż
Dzieci w czas głodu miały co jeść,
Że nie zostały rodzinne krzyże.
Dziś wam oddaję należną cześć.

Kobiety polskie, pełne inwencji,
Życia sekretów znające treść.
Modłę się szczerze w Waszej intencji,
Wynosząc godność, chwałę i cześć.

Kobiety polskie, ciche i skromne,
Wierne, troskliwe - jak niesie wieść,
A jednocześnie godne i dumne.
Kobiety polskie. Chwała wam. Cześć!

Msza Sybiraków

Wejście

Zabrzmiał dźwięk dzwonka, znak Mszy początek.
Wchodzą sztandary spod różnych znaków,
Służba kościelna, kilku kapłanów,
W tle delikatna pieśń Sybiraków.

U stóp ołtarza cieniem się kładzie
Największa w dziejach cierpień mennica.
Tak się co roku nam przypomina
Pierwszej wywózki n-ta rocznica.

W jeden poranek milionom ludzi
Został złamany kręgosłup wiary.

Wiary w człowieka, godność i honor,
Że być nie może bez winy kary.

W jeden poranek, milionom ludzi
Z ziem Ukrainy, Litwy, Podola,
Bez pól bitewnych, ruchu oporu,
Została dana długa niewola.

W jeden poranek, miliony rodzin
Straciły życia dorobek cały.
Kiedy okupant, bijąc w drzwi kolbą,
Łamał opory oddając strzały.

Zwiezionych sańmi na boczne tory,
W jeden poranek, ludzi miliony,
Ubito ciasno siłą bagnetów
W brudne, bydlęce zimne wagony.

Msza katechumenów

Katechumenów Msza rozpoczęta
Z udziałem siwych głów w epistole.
Kapłan w homilii zaś przypomina
Niewiarygodną zesłańców dolę.

Przybliża wiernym bezsporne fakty,
Jak tygodniami w smrodzie i brudzie,
Głodni, spragnieni, bez mydła, wody,
Z wszami w tysiącach przetrwali ludzie.

Jak na żądanie światła i wody
Szparę w okienku oddrutowano.
Spełniając prośbę, wpuszczonym węzem,
Przy silnym mrozie, jadących zlano.

Jak młoda matka, kiedy powite
Jej zmarłe dziecko, zabrano siłą,
Rzucając w bezkres. Skoczyła za nim.
Padł strzał. Śnieg był ich wspólną mogiłą.

Jak nastolatka truła się moczem,
Bo się wstydziła kucać na dziurze.
Jak wyrzucano z wagonów trupy,
Pozostawiając pogrzeb naturze.

Jak po pięćdziesiąt wiorst w jedną dobę
Gnano skazanych w śmierci obozy.
Potem na lorach wieziono w deszczu,
By w końcu w mrozie odbyć marsz grozy.

Msza wiernych

Msza Święta wiernych – orate fratres.
Dzieci Sybiru już drżącą ręką
Wino, oliwę, chleb i owoce
Bogu na ołtarz niosą w podzięce.

Za czas przetrwania w sferze niebytu,
W mrozach Syberii, pustyni żarach,
W łagrach, więzieniach, okowach zbrodni,
Obcując z życiem w śmierci oparach.

Za zdechłe konie, ochłapy, z których
Były odrębnym sporów tematem,
Kiedy szarpiących ludzi padlinę,
Dozorca chłostał po plecach batem.

Za kłosa zboża, zgniłe ziemniaki,
Skrycie zbierane z pola po zbiorze,
Że stróż nie nakrył, że nie odebrał
I, że nie wdeptał butem w podłoże.

Za sierocińce, w których ratunku
Szukała matka dla swego dziecka
I, że je Polsce, choć z oporami,
Oddała później władza radziecka.

Za dobrych ludzi spotkanych w piekle,
Którym zły reżim nie skalał duszy.
Którzy swe życie kładli na szalę,
By zaoszczędzić innym katuszy.

Pokój Pański

Pax Domini sit semper vobiscum
Kapłan chleb łamie - znak pojednania,
A przed oczami, w myślach się jawią,
Straszne obrazy czasu zasłania.

Jak się pojednać z hersztem tyranów,
Który rozkazał zgładzić miliony?
Ojca rozstrzelać, matkę zagłodzić?
Z dzieci szkieletów zrobić szwadrony.

Jak się pogodzić z „marszrutą śmierci”
Drogą od Mińska do Ihumenia?
Z tezą, że ziemia, po której przeszli
Nie wymagała już nawożenia.

Jak podać rękę sługom systemu?
Tak intensywnie grzebiącym ludzi,

Że jeden człowiek ponad pół roku
Trumien zbijaniem tylko się trudził.

Jak się pojednać z sędziną – matce,
Która nad chorą córką czuwała?
Przyszła do pracy później. Więc areszt.
Areszt odbyła. Córka skoła.

Jak się pojednać z tym, który każe
Orać będące pola ugorem,
A małym dzieciom, przez kilka nocy
Z łuczywem w ręce biec przed traktorem?

Błogosławieństwo

Benedicat vos... Czyniąc znak krzyża
Kapłan w tych słowach daje przesłanie.
Niech rzesza zmarłych w siłach Sybiru
Na jedną chwilę z martwych powstanie.

Ci z kopalń węgla, cynku, uranu,
Grzebani w wspólnym, ukrytym grobie.
Ci zmarli w celach, którzy nie zmieniać
Obywatelstwa, przyrzekali sobie.

Babcie, umarłe śmiercią głodową,
Oddając wnukom swój chleb z przydziału.
Dziadkowie, zbici w więziennych celach
Za próbę brania w buncie udziału.

Matki, karmiące już duże dzieci,
Mlekiem swych piersi, istne szkielety.
Ojcowie, skuci w spławie belami
Dochodząc w bólach do życia mety.

Dzieci wypadłe z sań przy transporcie,
W nocy przez wilki żywcem szarpane.
Całe rodziny zmarłe w chorobie,
Którym głód przeżyć nie było dane.

Ci bezimienni w setkach, tysiącach,
Bez śmierci znanej, miejsca i daty.
Ci z pustyń, stepów i spod bieguna
Chowani często w grobach na raty.

Zakończenie

Ite, missa est- Msza zakończona.
Wychodzą pocztą, kapłan i wierni.

Zostają tylko smutne refleksje,
Wspomnień fragmenty, w kolorze czerni.

Dziecko, któremu postać tatusia,
Była postacią z marzeń wysnutą.
Gdy się rodziło, on już umierał.
Dzieje kreślone żalosną nutą.

Dwu-nastolatki, które porwane
Przez klan Uzbeków, z użyciem siły,
Nie mogły z matką wrócić do kraju,
Bo dla Uzbeków dzieci rodziły.

Dziadka z wywózki lat pięćdziesiątych,
Który, po nagłej śmierci Stalina,
Dwa dni przed własną rzekł z satysfakcją
„Jednak przeżyłem ja s.....na”

I, że co roku coraz to mniejsza
Brać Sybiracka „idźcie” już słyszy.
Za kilkanaście lat już być może
Słowa te padną w zupełnej ciszy.

Za kilkanaście lat już być może
Staną na chwilę życia zegary,
Żeby przepuścić w skłonach żałoby
Osieroczone z ludzi sztandary.

5. KOŁO SYBIRAKÓW

Jest taki pomnik

Jest taki pomnik. Pomnik szczególny,
Dla Sybiraków szczególnej wagi.
Który wymusza swym majestatem
Chwilę zadumy pełne powagi.

Dobrze, że jest On, że właśnie tutaj,
Że blisko grobów. Nie w miejskim gwarze,
Że można przyjść tu i w każdej chwili
Ożywić w myślach znajome twarze...

Twarze z tych grobów, które zostały
W śniegach Syberii, Afryki piaskach,
Na ziemi włoskiej lub pod Lenino
Albo zwyczajnie w Wąlczu lub Laskach.

Dobrze, że jest On, że w takim miejscu,
W którym nikogo dziwić nie może.
Łza na policzku, szeptane słowa
„Wieczny odpoczynek racz im dać Boże”

Znicz zapalony w rocznicę śmierci,
Kwiatek złożony na dzień urodzin
Osobie, z którą przeżyłeś lata,
Albo dni kilka, a może godzin.

Widok staruszka w pełnej zadumie,
Babci z kilkoma już prawnukami,
A w Dzień Zaduszny całej rodziny
Z kwiatem lub zniczem - więzi darami.

Dobrze, że jest On, Ja też przychodzę,
Gdy sił nie starcza jechać na groby,
Dar więzi złożę, podumam sobie,
Modlitwą kończąc ten dzień żałoby.

Pomnik
(Sybiraków w Zgorzelcu)

Jest taki pomnik,
Pomnik wśród grobów,
Pomnik wykuty ze skały,
Pomnik wśród grobów
Ale bez grobu,
Pomnik cierpienia - nie chwały.

Jest taki pomnik,
Pomnik bez krzyża.
Krzyżem jest barwa przestrzeni,
W której jest wiosna,
Lato i zima
I smutny odcień jesieni.

Bo takie krzyże
Z mgieł i oparów
Tam gdzieśmy byli stawiano.
Krzyże z buranów,
Mrozów, upałów,
Innych tam Krzyży nie znano.

Dzieciom - z pociągu
W biegu rzucanym,
Ojcom - zgłodzonym w obozie,

Braciom i siostram
- Umarłym z głodu,
Matkom - skostniałym na mrozie.

Jest taki pomnik,
Pomnik rozpaczy,
Pomnik, co stoi i płacze.
Płacze nad tymi,
Którzy na zawsze
Zostali w ziemi tułaczey.

Płacze nad tymi,
Którzy wrócili,
Za sprawą których tu stoi.
Ale najbardziej
Płacze nad sobą,
Bo samotności się boi.

Cóż to za pomnik?
Może ktoś spyta.
Pomnik bez krzyża i łzawi?
Pomnik rozpaczy?
Pomnik wśród grobów?
A który krzyżem się jawi.

Jest taki pomnik.
Pomnik Sybiru,
Bez Sybiraków niestety,
Bo zapomnieli
Dawni tułacze
Bliskich im osób portrety.

Jest taki pomnik,
Wokół którego
W nieustającej gonitwie
Cienie najbliższych
Chcą was zobaczyć
Skupionych przy nim w modlitwie.

Ech, Sybiracy
I Sybiraczki!
Nic dla was pomnik nie znaczy.
Zapominacie
Przy pełnych brzuchach
O waszych Matek rozpaczy.

A pomnik stoi,
Stoi samotny
I czeka na swą agonię,
Bo nawet dzisiaj

Nie sybirackie
Myją i czyszczą go dłonie.

Kiedy tak widzę
Jak on wam obcy,
Myśl czasem straszna mnie gnębi,
Że on bez dzieci, wnuków, prawnuków,
Będzie własnością gołębi.

Nasz sztandar

Sztandar! Naszego – skarb - pokolenia,
Z niepowtarzalną bielą, fioletem.
Dumnie nad nami,
Sybirakami,
Sprawuje pieczę swym autorytetem.

A Ostrobramska w biały haft wszyta
Symbol nadziei, wiary, przetrwania,
Chronić nas będzie
Zawsze i wszędzie
I ból łagodzić czasu zasłania.

Srebrny znak Związku w fiolet wpisany
Klamrą pokoleń spina historię.
Powstań zryw zbrojny,
Ofiary wojny,
Tworzą realia nie alegorię.

Szkoda pół wieku straconej chwały,
Straconych parad, znaków, symboli.
Pół wieku zgonów
Bez jego skłonów.
Kiedyś nie czułem, dzisiaj to boli.

Dlatego duma pierś mą rozpiera,
Wzrasta rytm serca, łez pełne oczy,
Kiedy wśród innych
Sztandarów czynnych
Nasz sybiracki wraz z pocztą kroczy...

Niosą go ręce tych, co przeżyli
Tułaczą dolę. Dawni clochardzi,
Teraz wiekowi
Chłopcy „pocztowi”
Choć schorowani, lecz ciągle twardzi.

Sztandar jest z nami w każdej potrzebie,
Śmiało powiedzieć w tej chwili mogę.
Jest na paradach,

Ważnych obradach
I odprowadza w ostatnią drogę.

Dzisiaj tym wszystkim z tajgi, pustyni,
Matką i Ojcem, którzy z zesłania
Powrotu chwili
Już nie dożyli
Wraz ze mną sztandar nisko się kłania.

Tablica pamięci

Na prawie pół wieku
Na kartach historii,
Prawdę o Sybirze
Zakuto w kajdany.
Dopiero stoczniowcy,
Górnicy, hutnicy,
Dali szansę goić
Wciąż krwawiące rany.

Strach przed zapomnieniem,
Widma zesłań czasu,
Bezwiedna obawa
Powrotu cenzury,
Nakazała żywym
(w im dostępny sposób)
Kruszyć wśród potomnych
Zakłamane mury.

Stąd symbole walki
Żywych o przetrwanie.
Stąd symbole z krzyżem
Zmarłym z wiarą w Boga.
Nie są to z pewnością
Artystyczne dzieła,
Lecz płynąca z serca
Na przyszłość przestroga.

Także i w Zgorzelcu
Sybiraków Koło
W smutny dzień wywózki
Kolejnej rocznicy,
Kuty w brązie znak swój
I maksymy słowa
Dali na przybitej
W świątyni tablicy.

Choć ją zawieszono

-W myśl wskazań kapłana-
W atrium pokutniczym
Nad kupieckim stołem,
Gdzie symbol cierpienia
I brzęk agorotów
„ W domu Ojca mego”
Żyją sobie społem.

Lecz, że niezniszczalna
Opoka Narodu,
W postaci świątyni,
Nie skąpi opieki,
Bez względu na dalsze
Zakusy historii,
Prawda o Sybirze
Trwać będzie na wieki.

Wigilia Sybiraków

Każdy co roku spędza wigilię
W gronie rodziny, wśród jadła smaków.
Ale to nie są te wielkie chwile,
Jak na wigilię wśród Sybiraków.

To potomkowie Polesia, Lwowa,
I Nowogródka i Wileńszczyzny,
Wołynia, Podola, Stanisławowa,
Wracają myślą do ojcowizny.

Tu się splatają różne kultury,
Różne tradycje i obyczaje,
W oczekiwaniu na tego, który
Przyjściem swym trochę nadziei daje.

Nadzieja owa była opłatkiem,
Tam, gdzie za jadło starczał różaniec.
Była jedynym możliwym spadkiem
Jaki zostawiał zmarły zesłaniec.

Tam czas narodzin Syna Bożego
Był specyficzną tradycji formą.
Oczekiwanie na przyjście Jego
Czczono zwiększoną na „zwałce” normą.

Tam istniał pakiet kar i zakazów.
Zakaz modlitwy lub posiadania

Symboli wiary (Świętych obrazów),
Bezwzględny zakaz kolędowania.

Zakaz przeżycia i posiadania,
W każdej ilości (pod groźbą kary)
Uczuć nadziei, własnego zdania,
Rozmowy w grupach, powrotu wiary.

Tu już nie dzielą zakazów druty
Tych z Kazachstanu czy z Krasnojarska,
Nowosybirsk, Komi, Workuty,
Omska, Irkucka lub Krasnodarska.

Dziś tu i teraz, ówczesne dzieci,
Dzieci Sybiru, choć z siwym włosem,
Już wyzwolone z nakazów sieci,
Kolędy pełnym śpiewają głosem.

To wielka chwila, po tym, co było,
Widzieć kapłana z opłatkiem w ręce,
Który jak ojciec, powagi siłą,
Łamie opłatek Bogu w podzięcie.

Za to, że teraz, tutaj, w tej sali,
Jesteśmy jedną wielką rodziną,
Żeśmy w nadziei jednak wytrwali
Z Marią, Józefem i ich Dzieciną.

Dlatego łamiąc z nami opłatek,
Jest absolutnym chwili nakazem
Czuć się szczęśliwym, nie liczyć latek,
By za rok znowu spotkać się razem.

Koło historii

Na wschodniej ścianie polskich rubieży
Odbył się pogrzeb,
Grób jeszcze świeży.
Krzyż,
Pod nim kopczyk i cztery kwiaty,
Oraz kupiony wieniec na raty.
I pusty zbiornik po stearynie.
Tak legł ostatni Sybirak w gminie,

Konając w ciemnym kącie barłogu.
Z kolei losu zwierzył się Bogu,

Mówiąc:
Mój Boże!
Nie wiem, dlaczego?
Śmierć idzie do mnie jak do obcego.
A przecież dawniej duszą i ciałem
Przez lata całe z nią obcowałem.

Choćby w czterdziestym. Wrzucono, Panie,
Gołego malca matce na sanie.
Niemał w ostatniej odjazdu chwili,
Paltem sąsiedzi ciało odkryli.

Widzisz,
Że mnie już, Panie,
Na starcie
Potraktowano jak malców w Sparcie,
Sprawdzając pewnie,
Czy jestem w stanie
Znieść bez uszczerbku
W tajgę zesłanie.

Podróż
Przeżyłem na matki mleku,
Znajdując ojca w każdym człowieku.
Własny
W momencie moich narodzin
Od kilkunastu nie żył już godzin.
Myśląc, w ostatniej walki godzinie,
Że Kraj śmierć spłaci Jego rodzinie.

A na zesłaniu
Dobrze wiesz Boże,
Śmierć była przy mnie o każdej porze.
Chciała mnie zabrać
Z zimna i z głodu,
Rozlicznych chorób i bez powodu,
Ale przeżyłem. I chyba w maju,
W czterdziestym szóstym byłem już w kraju.

Nie mając żadnej bliskiej osoby,
Nie wiedząc nawet, gdzie są ich groby.
Do osiągnięcia pełnoletności
Miałem w przytułku szukać miłości.

W życiu dojrzałym,
O czym wiesz Boże,
Raz było lepiej, raz było gorzej.
Lecz życie wiodłem pewny stagnacji,
Aż doczekałem się t r a n s f o r m a c j i.

I teraz leżę
Jak strzęp człowieka
W jedynym kącie, gdzie nie przecieka.

Samotnie leżąc w chacie czas długi
Sybir przeżywam Już po raz drugi.
Głodny i chory,
Teraz i wtedy.
Żyłem i żyję
Na skraju biedy.
Bez mała goły i przemarznięty,
Czekając w życiu ostatniej renty.

Lecz już bez obaw, co kupić trzeba?
Wybrać receptę
Czy bochen chleba?
Opalkę zimą
W ratach do spłaty?
Czy przecenionej paczkę herbaty?

Teraz już jestem zdecydowany.
Kupię jedynie balsam na rany.
Kupię pół litra,
Łyknął na zdrowie
Panów z Senatów i posłów mrowie.
I Prezydenta,
No i premiera,
Tego, co ludzi zbliża do zera.

A gdy już będę leżał
Bez życia,
Seksja wykaże, żem zmarł
Z przepicia.
I nikt nie powie Wodzom Narodu,
Że Sybiracy konają z głodu.
I tak się zamknie historii koło.
Sybir i cmentarz „jednako goło”.

Minuta ciszy

To już nie potrwa lat kilkadziesiąt,
Może lat kilka lub kilkanaście,
Kiedy ostatni w Kole Sybirak
Za sobą wieko trumny zatrzaśnie.

W miejsce krwi smutek krąży w aortach.

Lete przez serce lzę w oku kręci,
Gdy jest potrzeba minutą ciszy
Czcić odchodzących w roku pamięci.

Już coraz częściej. Nie sporadycznie.
Suma tych minut tworzy godzinę.
Kiedy Sybirak za Sybirakiem
Spieszą w Eireny sądów krainę.

To naturalną jest rzeczy sprawą,
Kiedy czas czyni pokoleń zmianę,
Że człon zużyty odmaszeruje
Ciałem na cmentarz, duszą w nieznane.

Mimo to szkoda, że to już teraz
W zastraszającym tempie ubywa,
Nieodtworzona do szczytu granic
Naszej historii legenda żywa.

Bo Sybiracy to nie Herosi.
To nie obrońcy murów stolicy.
Nie regularne armii oddziały,
Ale „systemu zła” niewolnicy.

Już w przyszłym wieku, a to być może,
Śmietnik historii, bez zdania racji
Interpretując czas Sybiraków,
Zechce ich poddać utylizacji.

W Was, imiennicy Szkół Sybiraków,
Tli się w nas mały promyk nadziei,
Że potraficie przez pokolenia
Przenieść okruchy szczytnej idei.